

Wiesław Myśliwski

# Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XVII Nr 4(188) Żelów, kwiecień 2012

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

## W numerze:

**Wiersze:** Ewy, Bartkowiak, Julii Fiedorczyk, Stanisława Nyczaja, Rafała Orlewskiego, Anny Zabackiej

**Andrzej Dębowski** – „Sprawa Tomasza Raczka” oraz *Prawda o momentach bycia...*

**Leszek Żuliński** – *Okruchy lat*

**Józef Baran** – *Przystanek marzenie*

**Stefan Jurkowski** – *Tango scleroso*

**prof. Maria Szyszkowska** – *Filozofia codzienności*

**prof. Ignacy S. Fiut** – *Egzystencjalne drżenie i rozterki poety*

**Igor Wieczorek** – *Boskie Kule*

**Kazimierz Ivosse** – *Wielkanocna opowieść*

**Andrzej Bartyński** – *Wiosna*

**Paweł Kuszczynski** – *Labor Omnia Vincit dla Mirosławy Prywer*

**Janusz Orlikowski** – *W sprawie tożsamości*

**Jurata Bogna Serafińska** – *Pieniądz, a cnota umiaru*

**Andrzej Gnarowski** – *Jej wysokość w mieście Krakowie*

**Adam Lewandowski** – *...jak ślady na piasku*

**Jarosław Stejskał** – *Skończył się dzień utrapień*

**Henryk Pustkowski** – *Dramaturgia cichości*

**Dorota Szumilas** – *„Fluid rozpusztego nieba”...*

**Stanisław Grabowski** – *„Czemu mi ją zabrałeś, Boże...”*

Wydarzenia

Informacje

Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy, Witryna

Kronika



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębowski

## Kronika

**Wiesław Myśliwski**, jeden z najważniejszych polskich prozaików ukończył 80 lat.

Studiował filologię polską na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Debiutował w 1955 roku recenzją powieści E. de Greff „Noc jest moim światłem”. W latach 1955-1976 pracował w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w Warszawie jako asystent redaktora, redaktor, kierownik redakcji literatury współczesnej, zastępca redaktora naczelnego.

W latach 1975-1999 był redaktorem naczelnym kwartalnika „Regiony”, w latach 1993-1999 także dwutygodnika kulturalnego „Sycyna”. Od 1997 roku jest przewodniczącym jury konkursu – Ogólnopolskiej Nagrody im. Aleksandra Patkowskiego w Sandomierzu. W latach 1971-1983 był członkiem Związku Literatów Polskich.

Jest autorem takich książek, jak: „Nagi sad”, „Pałac”, „Klucznik”, „Kamień na kamieniu”, „Widnokrąg”, „Traktat o łuskaniu fasoli”.

Jest jedynym, jak dotąd, dwukrotnym laureatem nagrody Nike.

Myśliwski obecny jest w polskiej literaturze od niemal półwiecza. Kolejne książki publikuje rzadko, za to premiera każdej z nich jest dużym wydarzeniem. Bohaterami utworów Myśliwskiego są najczęściej polscy chłopcy, a akcja rozgrywa się na prowincji. Przez krytyków Myśliwski określany jest często jako twórca tzw. literatury chłopskiej – podejmującej problematykę tożsamości wsi i jej mieszkańców w czasach historycznych przemian.



**Wiesław Myśliwski**

W wywiadzie zamieszczonym w mojej książce „Kiedy umiera poeta, umiera świat. Rozmowy z pisarzami”, Wiesław Myśliwski powiedział: „W kulturze chłopskiej jest wiele zjawisk, mających prawo sięgać do szczytów kultury narodowej. Dam panu przykład – największą polską rzeźbą, największym polskim dziełem jest Chrystus frasołliwy. Nikt większego dzieła w sztukach figuratywnych nie wymyślił. A to stworzył prawdopodobnie prostu, polski chłop, który chciał się pomodlić przy wystruganej własnoręcznie rzeźbie, Nie ma znaczenia, czy stoi za tym zaplecze intelektualne, świadoma czy nieświadoma siła wyobraźni, talentu... Jeśli jest coś narodowe, to znaczy, że jest inteligentkie? Dla mnie narodowe, to jest takie, które osiąga największe

szczyty. A skąd ono pochodzi – z chłopów czy z arystokracji – to mnie interesuje. Liczy się dzieło, a nie geneza dzieła.

## Konkursy

### XIX Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Wacława Olszewskiego w Bełchatowie

Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna imienia Józefa Ignacego Kraszewskiego w Bełchatowie zaprasza do udziału w konkursie poetyckim im. Wacława Olszewskiego.

Konkurs przeznaczony jest dla poetów-amatorów, którzy ukończyli 15 lat i nie są członkami Związku Literatów Polskich ani Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Na konkurs należy nadsyłać pod adresem organizatora tylko jeden zestaw zawierający 3-5 utworów w kategorii wierszy lirycznych. Utwory powinny być w czterech egzemplarzach maszynopisu oraz zapisane w formie elektronicznej (np. CD, dyskietka), dotychczas niepublikowane w wydawnictwach zwrotnych i nienagradzane na innych konkursach.

Każdy utwór należy opatrzyć godłem – słowem, umieszczonym w prawym górnym rogu kartki z wierszem; to samo godło powinno występować na dołączonej kopercie zawierającej kartkę z danymi o autorze (imię, nazwisko, adres, numer telefonu, nota biograficzna); oświadczenie o treści: „Oświadczam, że jestem autorką/autorem wierszy nadesłanych na konkurs. Wiersze nie były wcześniej publikowane i nagradzane na innych konkursach.”

Osoby przysyłające: więcej niż jeden zestaw, zbyt dużo utworów w jednym zestawie, zbyt mało egzemplarzy, utwory opatrzone pełnymi danymi zamiast godła, nie zostaną dopuszczone do udziału w konkursie.

Prace zostaną ocenione przez Jury powołane przez Organizatora, nie podlegają zwrotowi i pozostają do dyspozycji Organizatora.

Jury wyłoni laureatów według dwóch kategorii:

- kat. I: poeci z terenu kraju - kilku laureatów,
- kat. II: poeci z powiatu bełchatowskiego - jeden laureat.

Uczestnicy z powiatu bełchatowskiego sami decydują, w której kategorii chcą startować umieszczając na przesyłce dodatkowy dopisek: „Kategoria I” lub „Kategoria II”.

Laureaci Konkursu otrzymają nagrody pieniężne lub rzeczowe ufundowane przez Organizatora i sponsorów.

Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród odbędzie się w siedzibie MiPPB im. Józefa Ignacego Kraszewskiego w Bełchatowie 15 września 2012 r. Nagrodę należy odebrać osobiście w dniu finału.

Organizator Konkursu zastrzega sobie prawo publikowania prac bez wypłacania honorariów autorskich.

Autor, nadsyłając prace na Konkurs, zgadza się na przetwarzanie danych osobowych na potrzeby postępowania konkursowego oraz publikację wierszy w wydawnictwie pokonkursowym.

NAGRODY w I kategorii: I nagroda – 2000 PLN, II – 1000 PLN, III – 500 PLN, oraz pięć wyróżnień po 300 PLN. NAGRODA w II kategorii: nagroda główna – 500 PLN.

Nagrodzone wiersze będą wydane w antologii stanowiącej pokłosie konkursu.

Prace prosimy przysyłać do 31 maja 2012 r.

(decyduje data stempla pocztowego) na adres: Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna im. Józefa Ignacego Kraszewskiego; ul. Kościuszki 9; 97 - 400 Bełchatów, skr. pocztowa 17, z dopiskiem: Konkurs Poetycki im. Wacława Olszewskiego.

Informacje o Konkursie udzielane są pod numerem telefonu (44) 632-28-71.

### VIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Wawrzyn Sądecki”

Grupa Literacka „Sądeckizna”, Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu oraz Sądecka Biblioteka Publiczna im. J. Szujskiego w Nowym Sączu ogłaszają konkurs poetycki pod hasłem: „Człowiek przed lustrem”.

Konkurs ma charakter otwarty, mogą w nim wziąć udział wszyscy piszący po polsku autorzy.

Na konkurs należy nadesłać nawiązujące do hasła wiersze, w ilości od jednego do dwóch w czterech egzemplarzach. Powinny to być teksty nigdzie niepublikowane, nienagradzane i niewysyłane na inne konkursy.

Utwory prosimy opatrzyć godłem słownym. Winno być ono powtórzone na zaklejonej kopercie zawierającej imię, nazwisko, adres, numer telefonu, e-mail autora i krótką informację o nim.

Autorów, którzy nie ukończyli 20 lat, prosimy o podanie obok tych danych, również daty urodzenia, nazwy szkoły, uczelni, lub zakładu pracy oraz oznaczenie swoich wierszy literą „M” (pod godłem). Autorów mieszkających na Ziemi Sądeckiej prosimy o napisanie na pracach konkursowych litery „S” (pod godłem).

Mieszkańcy Sądeckizny i młodzież rywalizują o statuetki oraz pozostałe nagrody i wyróżnienia.

Prace konkursowe należy nadsyłać do 15 maja 2012 roku na adres: Sądecka Biblioteka Publiczna, 33-300 Nowy Sącz, ul. Franciszkańska 11 – z dopiskiem na kopercie: *Konkurs Poetycki*.

Pokłosie konkursu znajdzie się w almanachu pokonkursowym. Oprócz utworów nagrodzonych autorów, opublikowanych w nim zostanie kilkadziesiąt innych wartościowych wierszy nadesłanych na konkurs. Ich autorzy nie otrzymują honorarium.

Ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród odbędzie się we wrześniu 2012 roku w Nowym Sączu. Nagrody należy odebrać osobiście w dniu finału. Nieobecność na tej uroczystości sprawia, iż nagroda staje się wyróżnieniem honorowym, a gratyfikacja pieniężna zostanie przeznaczona na wspieranie twórczości literackiej w regionie.

Udział w konkursie jest równoznaczny z akceptacją jego regulaminu.

Interpretacja niniejszego regulaminu należy do organizatorów.

Jury przyzna następujące nagrody i wyróżnienia: I nagroda – 700 zł; II nagroda – 500 zł; III nagroda – 400 zł.

2 statuetki Starosty Nowosądeckiego „Srebrne Pióro Sądeckie” dla:

- najlepszego autora w kategorii młodzieży do lat 20,
- najlepszego w tej edycji konkursu autora mieszkającego na Ziemi Sądeckiej,

Wyróżnienia drukiem w almanachu pokonkursowym.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału kwoty przeznaczonej na nagrody.

Dodatkowych informacji udziela sekretarz jury (Grupa Literacka „Sądeckizna”) – tel. 606 957 138, e-mail: oksymoron2@gmail.com

JANUSZ ORLIKOWSKI

# W sprawie tożsamości

„Sokrates wskazał nie grootę, ale grupę ludzi czekających w kącie ogrodu.

– *Sluchaj! Pewnego dnia figura dobrego Jezusa przypląnęła z morza rzeką. Rybacy ją znaleźli. Jaka piękna! Jaka piękna! I umyli ją tu w grotcie. A teraz kamień wyrósł w grotcie. Co roku jest święto. Młotkiem odbijasz, odbijasz kawałki na szczęście błogosławione. I potem kamień znów rośnie i ty znów odbijasz. To cud”.*

I tak, jeden po drugim z kąta ogrodu przychodzili i odłupywali kawałek kamienia dla siebie. Po czym odchodzili. Przyglądał się temu rytuałowi d'Arrast, główny bohater opowiadania Alberta Camusa *Rosnący kamień*. Europejski inżynier, który przybył do Brazylii, a konkretnie do miejscowości Iguape, by zbudować tamę na rzece, która miała ułatwić życie tubylcom i tym, którzy tą częścią Brazylii władali. Jego zainteresowania jednak nie bardzo imaly się spraw owych i pomimo serdecznego przyjęcia ze strony najważniejszych w mieście, czyli burmistrza i sędziego, który nieustannie chciał wymusić na inżynierze wyznaczenie kary za zbrodniczo naganne zachowanie szefa policji wobec *takiego gościa* (ów szef, pijany, zażądał od niego paszportu, po czym, „pełen władzy”, stwierdził, że coś z tym dokumentem nie tak), ten bardziej był ciekawy zwykłych chat ludzi. Udało mu się ułaskawienie wspomnianego „dozorcy policjantów”, a zatopił się w sprawy, które niejako lud podawał mu na tacy, w kontrpunkcie do oficjalnych, dotyczących jego przybycia z konkretną misją. Zatem d'Arrast zainteresowany jest głównie ludem, a dzieje się to jakby niezamierzanie, w zwykłym toku myśli dziejącego się opowiadania.

*Rosnący kamień* Camusa. Kamień jako symbol doskonałości, jak w wierszu Zbigniewa Herberta – „kamień jest stworzeniem / doskonałym // równym samemu sobie/ pilnujący swych granic”. Jak u wielu innych, Szyborskiej – „Nie wejdziesz – mówi kamień. – Brak ci zmysłu udziału.”, Przybosa – „i odłupię odprysk / nieporozornej materii i pozornej duszy”. U twórcy *Mitu Syzyfa* odradza się jak Prometeusza wątroba, dając każdemu, poprzez odłupanie części tej doskonałości część. Każdy odchodzi w majestacie jakiegoś błogosławieństwa, że czegoś niezwykłego (jak rozumiem: owej doskonałości części) jest udziałem poprzez posiadanie. To jednak tylko przygrywka, warunek konieczny do pojawienia się kluczowej anegdoty tego opowiadania.

Jest nią przyrzeczenie dane przez Kucharza. Postać, która chętnie chce serwować głównemu bohaterowi czarną fasolę przyrzekła Jezusowi, że jeśli pozwoli mu dopłynąć do brzegu w czasie katastrofy statku (to zdarzenie opowiada inżynierowi), w której (jak podejrzewa) on miał swój udział, to zanieśie olbrzymi kamień do

kościola i to będzie jego „winy” zadośćuczynieniem. Ma to nastąpić w tym samym dniu, gdy zając się będzie makumba.

Makumba to słowo pochodzenia afrykańskiego, związane z kulturą Bantu, kojarzone z imieniem jednego z środkowoafrykańskich bóstw, względnie z pojęciem magii. Od XIX wieku pojawia się również w społecznościach afro-amerykańskich (czyli tam gdzie toczy się akcja naszego opowiadania), początkowo jako ogólne określenie praktyk religijnych ludów Bantu, przywożonych przemocą do Brazylii. O takich tu mowa. Symbolem makumby jest zaciśnięta pięść z wystawionym kciukiem między palcem wskazującym a środkowym (tak jakby polska figa). Makumba to również wywar z konopi indyjskich zawierający dużą ilość środka psychoaktywnego THC. Substancja wywołująca bardzo silne doznania emocjonalne, przypominająca działanie marihuany.

Kucharz doskonale wiedział, czym jest ten obrządek. Jakiego fizycznego wysiłku potrzeba, ciągły, nocny taniec przy dźwiękach bębnow, narastające krzyki, wprowadzanie się w ekstazę, tworzenie jakby nie rzeczywistości, tym niemniej postanawia najpierw w niej uczestniczyć, a dopiero później dopełnić dla Jezusa (dla siebie?) obietnicy. Mówi o tym wcześniej głównemu bohaterowi *Rosnącego kamienia*, a ten pełen obaw w czasie trwania makumby uważa, by Kucharza nie stracić z oczu, bowiem powiedział mu, że będzie obecny w czasie jej spełnienia. Stąd przyglądaniu się nowości jaką jest dla niego ten obrządek religijny towarzyszy zawsze szukanie wzrokiem Kucharza. A ten znika, to znów pojawia mu się i wtedy zmęczony też mimowolnym udziałem w makumbie, chwytą głębszy oddech.

I opowiadania scena zasadnicza. Kucharz kładzie na głowę, na której tylko kora drzewa by zamortyzować nieco, olbrzymi głaz i poczyna wędrować w kierunku kościoła. Można ją przyrównać do drogi krzyżowej w religii chrześcijańskiej, co niejednokrotnie komentatorzy Camusa czynili. Osobiście miałbym jednak pewne obawy. Po pierwsze, i jako drugie i trzecie: dlaczego Kucharz wiedząc, że ma przed sobą tak trudne i wymagające fizycznie zadanie postanawia uczestniczyć wcześniej w makumbie? Można to tłumaczyć tylko tym, że jego wiara w sensie chrześcijańskim nie jest ukonstytuowana w sposób jednoznaczny. Bóg dla niego to i ów obrządek, jak i ów dobry Jezus, którego figurkę w rzece znaleźli rybacy i która stała się przyczynkiem obrządku „rosnącego kamienia”. Problem(?) polega na tym, iż gotujący znakomitą czarną fasolę nie widzi i nawet nie podejrzewa żadnej różnicy. Wiara to jest wiara. Jest w jego pojmowaniu jakąś magią, tym bardziej prawdziwą, jeśli „widoczną”. Dzieje się coś, czego się nie rozumie. Bo trudno określić co było w grotcie powodem „rosnącego kamienia” i tegoż wyja-

śnienie w opowiadaniu się nie pojawia, bowiem nie jest dla jego zasadniczych treści potrzebne.

Zatem Kucharz niesie swój kamień do kościoła, spełniając tym samym obietnicę daną *dobremu Jezusowi*. Towarzyszy temu tłum ludzi po obu stronach drogi, który w milczeniu przygląda się „swoistemu widowisku”... Pomimo olbrzymiej sile woli siły fizyczne odmawiają posłuszeństwa. Kucharz pada z wycieńczenia. Jeden z widzów tłumy to nasz inżynier. Podchodzi i bierze tak jak tamten na głowę kamień i poczyna iść. Widzi przed sobą ten szpaler ludzi po obu stronach drogi, który tym samym wytycza drogę do kościoła.

Wydawało by się, że zakończenie tego opowiadania jest już znajome. Teraz d'Arrast doniesie kamień do chrześcijańskiej świątyni i rzecz się zakończy. Będziemy mieć obraz ludzkiej solidarności jako główną treść *Rosnącego kamienia*. Ale, co warto w tym miejscu zauważyć: gdy Kucharz opowiadał naszemu inżynierowi o swym zobowiązaniu wobec *dobrego Jezusa* pytał go, czy on również nie ma podobnych zobowiązań. Ten nie mając żadnej konkretnej odpowiedzi, jakby się migał, jakby nie chciał powiedzieć, jakby jego odpowiedź by nie mieściła się w tego typu rozumowaniu. To było jakby poza nim. Tym niemniej, jak wspomniałem, podnosi upuszczony przez tego, który chętnie go częstował znakomitą czarną fasolą, pięćdziesięciokilowy głaz... I wbrew temu co sądził tłum i być może czytelnik nagle skręca z drogi wiodącej do kościoła i kieruje się do domu Kucharza. Tam kamień donosi i kładzie pośrodku chaty.

Thomas Merton, mnich, który za namową Czesława Miłosza zajął się komentowaniem twórczości Alberta Camusa, a czego obraz znajdujemy w książce *7 esejów o Albercie Camus* zarzuca twórcy *Dżumy* słabość takiego zakończenia i to zarówno pod względem przekazanej treści jak również artystycznym. W tekście *Trzej zbawcy u Camusa: jasność widzenia i absurd* pisze: „Camus proponuje nam dość słabą zasadę liberalnej i humanistycznej moralności”. Ta słabość objawia się również w tym, że „symbolizm »Rosnącego kamienia« nie jest pod każdym względem artystycznie udany”. Tę rzekomą słabość oprócz argumentów, by tak określić, czysto dogmatycznie – teologicznych, obrazuje powołując się na *Notatniki* pisarza i filozofa, gdzie odczytać możemy próby dwóch innych zakończeń. d'Arrast podnosi kamień i znika z nim w puszczy, co by odczytać należało jak nazywa to Mircea Eliade „mitem wiecznego powrotu”, kamień kładzie nasz inżynier nie w chacie, lecz w najędźniejszej z chałup (Camusa pociągało franciszkańskie ubóstwo i pokora). Te pomysły rozwiązania zakończenia opowiadania traktuje Merton nie jako wyraz poszukiwania, a nieporadności (?).

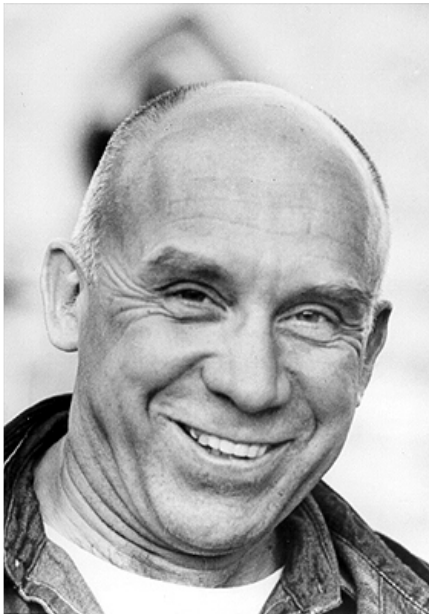
(Dokończenie na stronie 4)

## W sprawie tożsamości

(Dokończenie ze strony 3)

„Trzecią próbę rozwiązania uznał pisarz za trafioną. Lecz gdy odkrywamy jego wahania, znajdujemy podstawę dla naszych wątpliwości. Czy one aby nie odsłaniają nam głębszej niepewności w samym Camusie? Nie potrafi tańczyć, ani też pójść na mszę.

Ale uspokoi się, jeśli biedni Murzyni w »faveli« powiedzą: »siadaj z nami«. Wszystko to bardzo miło! Ale główny kłopot z tym zakończeniem pojawia się gdy zadajemy pytanie, jakie mogłoby zadać w tym momencie dziecko: »A co robili potem?«.



Thomas Merton

Główny zarzut Mertona wobec Camusa to ten, że nasz inżynier po upadku Kucharza nie zanosí głazu do kościoła, lecz do jego chaty, gdzie po długiej chwili milczenia zgromadzeni w niej biedni, afrykańskiego pochodzenia ludzie w końcu mówią cytowane przed chwilą słowa: »siadaj z nami«. Podejrzewam, że Camus jako artysta z pewnością rozważał taką możliwość. Że nie zapisał tego w »Notatnikach«? Ta myśl jest tak samo narzucająca się, że wręcz nie wymaga zapisu. d'Arrsat doskonale zdawał sobie sprawę z tego że, by tak powiedzieć, nie wprost spełnia życzenie. Zwróćmy jednak uwagę na samą postać Kucharza. Bierze on najpierw udział w pogańskiej makumbie, której nie bez powodu szeroki opis znajdujemy na kartach opowiadania (widać Camusowi zależało na tym, aby zakotwiczyła się w pamięci czytelnika) i o której wspominałem wyżej. Ta w dużej mierze nadwątlona jego siła (Merton pisze, iż nasz inżynier nie potrafi tańczyć), a dopiero później oddaje się wypełnianiu obietnicy. Ta postawa z pewnością waży na decyzji. Może właśnie wtedy, gdy »wysoki Murzyn wziął szablę i nie przestając toczyć wokół oczami zaczął nią wywijać nad głową. W tej samej chwili d'Arrsat ujrzał kucharza tańczącego wśród innych. Nie zauważył kiedy kucharz

odszedł. A dalej nie zauważył »jak tancerze wzięli ogromne cygara, które palili teraz nie przestając tańczyć; ich dziwny zapach wypełniał chatę i odurzał go trochę. Zobaczył mijającego go w tańcu kucharza, który także palił cygaro: – Nie pal – powiedział. Kucharz coś mruknął posuwając się wciąż w rytmie i patrząc na słup pośrodku chaty z wyrazem wypunktowanego boksera».

D'Arrsat i Kucharz są w pewnym sensie do siebie bardzo podobni. Ten pierwszy jest ateistą, ale w chwilach, by tak powiedzieć granicznych... szczerze odpowiada na pytanie, czy wzywał kiedyś dobrego Jezusa: » – Powiem ci choć to nie ma znaczenia. Ktoś miał umrzeć z mojej winy. Zdaje mi się, że wzywałem. – Przysiękłeś? – Nie, chciałem przysięc. Ten drugi natomiast nie potrafi odmówić sobie przyjemności uczestniczenia w makumbie, chociaż przecież wie jak wyczerpująca siły fizyczne i psychiczne jest ta praktyka religijna kojarzona z imieniem jednego z środkowoafrykańskich bóstw.

Można na siłę podejrzewać, że ten spec od czarnej fasoli celowo wzięł w niej udział domniemając, że nie wytrzyma wysiłku podczas swego rodzaju procesji do kościoła i nasz inżynier spełni się w niedoszłym przyrzeczeniu. Klóci się to jednak z piątym przykazaniem: nie zabijaj! Co dotyczy również samej postaci, która by tak pokrętnie poczyniła.

Zamiast więc prostego i samo narzucającego się rozwiązania (d'Arrsat zanosí głaz do kościoła) pojawia się zaskakujące czytelnika i zgromadzonego tłum – głaz leży na środku chaty. Wokół powoli zaczynają gromadzić się ludzie. Aż w końcu padają do naszego inżyniera słowa: » – Siadaj z nami. Zgromadzeni, z pewnością nie bardzo rozumieją sens owego czynu. Czy faktycznie jest tak, jak to pisał z dużą dozą ironii Thomas Merton, pozwól sobie ten fragment powtórzyć: »Wszystko to bardzo miło! Ale główny kłopot z tym zakończeniem pojawia się gdy zadajemy sobie pytanie, jakie mogłoby zadać w tym momencie dziecko: »A co robili potem?«. To żaden argument. Równie dobrze dziecko może zadać takie pytanie po, często niezrozumiałej, modlitwie w kościele.

A może po wspólnym milczeniu będącym równocześnie symbolem samotności i solidarności, tak charakterystycznym dla twórczości francuskiego pisarza i filozofa, pojawi się pytanie: dlaczego tak?

Chata, dom to miejsce kojarzone z ciepłem, dające poczucie bezpieczeństwa, ale może być także symbolem stosunku człowieka do dogmatów religijnych i miernikiem siły jego wiary w Boga. Jeżeli »dom« jest zbudowany na solidnych podstawach, przetrwa wszelkie przeciwności i zwątpienia.

*I spadł deszcz i przyszły rzeki i wiały wiatry  
i uderzyły  
na on dom, a nie upadł: bo był na opoce  
ugruntowany,*

mówi Nowy Testament. Albert Camus był zawsze niezwykle szczerzy w swej twórczości. Tylko tak wyobrażał sobie pisanie, prawdę i życie. Nie bez powodu fascynowała go, podobnie jak naszego Czesława Miłosza, Simone Weil. Jest także dom odzwierciedleniem mentalności jego mieszkańców, świadectwem ich stosunku

do rzeczywistości, a zatem również symbolem tożsamości pojedynczego człowieka. Autora *Rosnącego kamienia* i postaci Kucharza łączy dramat niezakorzenia. Francuski pisarz i filozof jest emigrantem z biednej algierskiej rodziny, o której gdy zapytany co sadi na temat jego twórczości matka odpowiedział z ujmującą szczerością i uśmiechem: moja matka nie umie czytać. Bohater opowiadania to również jakby persona nie stąd, będąc kucharzem okrętowym. Te i przedstawione wcześniej, by tak rzec, powinowactwa przypadkowe powodują, że d'Arrsat zachowuje się zanosząc pięćdziesięciokilowy kamień do chaty w sposób niezwykle empatyczny, ale równocześnie bardzo szczerzy. Nie sadzę, aby Camusowi z jakąś trudnością przyszło napisanie zakończenia wedle życzenia Thomasa Mertona gdyby konstrukcja postaci, kluczowego bohatera opowiadania, była inna. Tylko diabeł boi się święconej wody, a w przypadku twórczości francuskiego, algierskiego pochodzenia noblisty mówimy często chętnie o świętości bez Boga.

Sokrates, który przywiózł d'Arrsata do miejscowości Iguape w Brazylii zanim poznał go z Kucharzem opowiedział przybyszowi historię »rosnącego kamienia«, którą cytowałem w wstępie mojego komentarza. Przypomnijmy. Ponoć rybacy dawno temu znaleźli figurę dobrego Jezusa, która przyplłynęła z morza rzeką i umyli ją w grocie. I kamień tam wrósł, a każdego roku jest święto. Przychodzą na to miejsce ludzie i odpupają młotkiem kawałki »na szczęście błogosławione. I potem kamień znów rośnie i ty odbijasz. To cud.« Oprócz tego, że ta anegdota wyjaśnia nam tytuł opowiadania i stanowi parabolę dla głównych jego treści jest również połączeniem samego symbolu kamienia i domu (chaty). Kamień jest:

*równy samemu sobie  
pilnujący swych granic  
wypełniony dokładnie  
kamiennym sensem  
(...)*

*– Kamyki nie dają się oswoić  
do końca będą na nas patrzeć  
okiem spokojnym bardzo jasnym*

Stanowi więc doskonałość samą w sobie, której jednak człowiek nigdy nie potrafi zrozumieć, ponieważ ten jest obojętny wobec otaczającego go świata i od nikogo niezależny jak pisek w cytowanym fragmencie wiersza *Kamyk* Zbigniewa Herberta. W zaprezentowanej przez Camusa przypowieści ludzie próbują cząstkę tej doskonałości mieć dla siebie, a kamień wciąż odrasta, to również parafraza mitu Syzyfa. Kamień ów zanosí d'Arrsat do chaty, do domu Kucharza i kładzie pośrodku. Składa więc na ołtarz domowego ogniska, tam gdzie postrzega tożsamość człowieka. Znajduje się on w jego wnętrzu, w centrum, a ten symboliczny gest daje mimo wszystko poczucie bezpieczeństwa jego domownikowi i przybyszom. Jest ów dom zbudowany na opoce solidarności i samotności. Prawdziwa samotność przychodzi tylko raz.

JANUSZ ORLIKOWSKI

## MNIJ WIĘCEJ (86)



## Okrucy lat

Piszę ostatnio w tym miejscu wiele o młodych i ich nowych tomikach. Przechyliła się jakaś szala – starsi albo umierają (niestety!) albo mają za sobą lata własnej świetności. Wymiana pokoleń widoczna jest gołym okiem.

Tym razem jednak chcę przypomnieć Rafała Orlewskiego, rocznik 1934. Poeta ten był ważną postacią i jednym z animatorów życia literackiego w prawdziwym zagłębiu „około-łódzkim”, którego granice wytyczały takie miejscowości, jak Bełchatów, Kolumna, Łask, Piotrków Trybunalski, Sieradz, Żelów i Zduńska Wola.

## LESZEK ŻULIŃSKI

Debiutował w prasie w roku 1958, zaś pierwszy jego tomik, pt. *Krzesiwo*, ukazał się w roku 1969. To były dobre czasy dla poezji – lata 60. i 70. zostawiły po sobie wiele świetnych nazwisk i książek, tamte kolejne roczniki kształtowały i moją generację...

Rafał Orlewski od lat złożony chorobą nie opuszcza swego piotrkowskiego mieszkania, jednak pisze i wydaje książki. Właśnie ukazał się wybór jego wierszy z lat 1957-2011, a więc tom ten można uznać za autoprezentację tego, co sam Autor uważa za najważniejsze w swoim dorobku.

Należy w zasadzie po pokolenia Orientacji Poetyckiej „Hybrydy”, która już dzisiaj przechodzi do historii literatury. Ale to była formacja raczej „stylizacyjna”, nie programowa, i w wyborze Orlewskiego jak w lustrze przeglądają się zmiany poetyckie, które po 1956 roku przyniosły świeży oddech liryce. Tak przede wszystkim czytałem ten tom. Z jeden strony gdzieś wąskim nurtem płynęła sobie poezja „postprzybosiowa” (mówiąc najogólniej), z drugiej – neoskamandrycka, jeśli można użyć takie określenia.

Wierszy wczesnych jest w tym wyborze mniej niż późniejszych – choć niedatowane, widać to gołym okiem. Widać też, jak zdecydowanie Orlewski rozwijał się, głównie wystraszając w sobie skojarzenia, metafory, obrazy coraz bardziej wyrafinowane i oryginalne. Na przykład znalazłem wczesny erotyk pt. *Tobie wiersz*, w którym już wyraźnie zadźwięczała

nutą językowego poszukiwania: *Tobie wiersz z zieleni morza // jak mnie głosu twego śniegi / kiedy bąki twoich oczu / zapalają lont o świcie // Tobie wiersz z posoki słońca // jak mnie upał twoich piersi / kiedy chrabąszcz z liści spada / by na twoich włosach zagrać // Tobie wiersz z wystrzału ptakiem. Piękny wiersz!*

Ogólnie rzecz ujmując, wiersze te bardziej dokumentują introwertyczną niż ekstrawertyczną drogę poety. To był – moim zdaniem – korzystny symptom czasu. Mieliliśmy już wtedy dosyć „bagnetów na broń” i wszelkiej zbiorowej „służby literackiej”. Toteż liryka polska po 1957 roku poszła właśnie tą drogą – dzisiaj już wiemy, że lepszej nie było. Orlewski jest klasycznym przedstawicielem „liryki osobistej”, intymnej, subiektywnej, metaforyzującej sprawy uniwersalne, a nie „konkretne”. I te jego wiersze, a jest ich tu większość zdecydowana, najbardziej wytrzymują próbę czasu.

Czy jednak się starzeją? Trudne pytanie, bowiem jeśli zestawić tę poezję z tą, jak rodzi się dzisiaj, to kanon językowy jest obecnie przez młodych dość radykalnie przetwarzany na inny rodzaj dykcji poetyckiej. Moim jednak zdaniem jedno nie ma nic do drugiego. Powinniśmy czytać wiersze polskie diachronicznie, tzn. z uwzględnieniem czasu, w jakim się rodziły. W takiej lekturze najmocniejszą stroną Rafała Orlewskiego jest wspomniany „ton osobisty”, to szukanie echa swoich emocji, przeżyć i podniet. Pod tym względem był poetą czułym, umiejącym nazywać te wszystkie niuanse, które w ogóle jeśli nie wierszu, to w każdym innym języku wyrazić trudno.

Znalazłem tu także wiele, bardzo wiele tego, co można by nazwać „filozofią”. Ona u Orlewskiego odnosi się wobec różnych spraw. Dla przykładu wiersz pt. *Posąg: Zawarty w głazie / z ręk powstałem // Rwały mnie z ziemi / kilof w kilof // Twórca tchnął / we mnie / twarz zastygła // Lecz ludzki w kształcie / urągam twórcy / – z głazu wyrwany / więzień człowieka*. Tu mamy już do czynienia nie tyle z ekspresją emocjonalną, co intelektualną, ocierającą się o metafizyczne klimaty. To jeden z najlepszych wierszy w tym zbiorze. W ogóle im dalej brniemy, tym częściej natykamy się na wątki związane z przemijaniem i tropy transcendentalne. Smutna dokumentacja losu, przeżywania świata i swego w nim bytowania, ale poezja – jak wiemy – nie tylko lubi się tym karmić, lecz właśnie na tych orbitach osiąga swoje najistotniejsze kosmosy.

Dobrze więc się stało, że Rafał Orlewski wydał ten wybór. To, po pierwsze, potrzebna dokumentacja, po drugie pewna summa, po trzecie – świadectwo choćby mojego krytycznego żywota, który biegnie już od kilku dziesięcioleci i nie zaczął się w chwili ostatnich debiutów, choćby najcudowniejszych.

## Rafał Orlewski

## Do Adepta

Słowo, któremu dajesz istnienie, jest jak niemowlę: niby bezbronne, ciekawe ścieżek sobie nieznanym,

ale też bywa przymilne, giętkie, dotkliwie krnąbrne – gdy nim obciążasz powóz Pegaza.

Skoro zapragniesz zonglować słowem, niech twoje serce, myśli, marzenia wtaczają kamień nie-Szyfowy na stok, lecz szlakiem pełnym wybojów.

Inaczej – cudzy płaszcz cię okryje, galop Pegaza utonie w echu, skąd rzenie słychać już tylko smutne.

\* \* \*

Mój wiersz jest nieubrany  
słowa się kurczą z chłodu

Mój wiersz nasiąka bielą  
jak świeżo obeschle  
ramiona Wenus ścięte  
nim obejmować mogły

Mój wiersz zostanie nagi  
jak człowiek wśród zwierząt

## Zderzenia

Między chlebem a solą  
jest umkniecie głodu.  
Między niebem a ziemią  
człowiek – nazbyt wiele.  
Między myślą a słowem  
przeźrzeń przeciążona.



Rafał Orlewski, „Okrucy snu”. Piotrków Trybunalski 2012, s. 134.



## Ewa Bartkowiak

### rozmowa

rozmawiamy po drodze  
łapiąc detal jednym tchem  
w blasku spojrzeń zamglonych  
z przymrużeniem rzęs  
gest poluje na gesty  
zapatrzony w każdy ruch  
woli rytm pełni resztę  
oddech mówi bez słów

obok życie rysuje  
bliski duszy obraz drzew  
otwieramy z uwagą  
aby mówiąc dalej iść

pośród mebli drewnianych  
świadców wypowiedzi dwóch  
wciąż szukamy wymiany  
myśli krążą z serc do głów

zastygnięci poniekąd  
w drodze życia  
w biegu zdarzeń  
zamyśleni nad sobą  
zatrzymani razem

wpatrujemy się w siebie  
spoglądając wokół  
widząc światło podobne  
postrzegając ten sam pokój  
książkę o znajomej nazwie  
obrus w jednym kolorze  
film ciekawy w konwencji  
o tej samej dobrej porze

uśmiechnięci do siebie  
własnych wyobrażeń  
przenikamy myśli  
snując wizje z wrażeń

wspominając gołębie  
czterolistną koniczynę  
ścianę z deszczu i słońca  
wianek z letniej doliny

doświadczamy tak siebie  
zatrzymawszy się w drodze  
rozmawiając zwyczajnie  
i o szczęściu i trwodze

bośmy w sobie jednacy  
bez celu bez przyczyny  
dziwnie sobie podobni  
w tej dziwocie jedyni  
tak choć światło zgaśnie  
i zamilkną słowa  
choćby świat zniknął nagle  
będzie trwała rozmowa

### przedwiośnie

szarego poranka serce zadrżało  
struchlałe krople wysmagały liście

westchnieniem nadeszło i ciepłem powiało  
wśród ciszy ubranej i biało i mgliście

serce drgnęło mocniej niż zimowa trwałość  
ptaki wbiły skrzydła w różane zaranie  
i odchodząc z deszczem co tak tulił żalność  
zamilkło niemocą nazbyt długie łkanie

świt zamieniał stroje coraz to odważniej  
blady róż we wiśnię mleczny lazur w błękit  
kontur zdał się jawić coraz to wyraźniej  
wiatr strunami szarpał tkwiąc na gryfie tęczy

tak powstawał ranek nowy nieznamy  
zbliżał się z maestrią śmiały zadziwieniem  
muskał blade usta blaskiem zamysłonym  
i nie pytał wcale wiodąc barwnym cieniem

ranek to czy wiosna drżała rozpalona  
ziemia zapach niosła nęcąc własnym chceniem  
ciałem tak przywarłam wonią uwiedziona  
i jak ziemia owa stałam się pragnieniem

### miłość w Warszawskich Łazienkach

miłość w Warszawskich Łazienkach  
widziałam wiele razy

można spotkać ją w Trou Madame  
krąży wśród białych stolików  
w woni herbat i kaw  
młodzieńców i ich dam  
w muzyce słów starannie dobranych  
bądź wymianach przez satyrę  
miłość ta smak ma szarlotki  
jajeczniczy lub sera

czasem stoi w alejce parkowej  
samotnie przy drewnianej ławce  
zapatrzona w liści rozmowę  
z wiewiórką i orzeszkiem  
bez świeższcza  
miłość ta duszę ma wieszczą  
co rozmawia ze swoim natchnieniem  
a słowa ulatują w przestworza

niekiedy w trawie się chowa  
przy licealiście i licealistce  
a na stosie ich dyskusji i teorii nowej  
płonie pierwszym pocałunkiem  
miłość ta pachnie jak narcyz  
chwilami jak janowiec

miłość w Warszawskich Łazienkach  
kroczy alejkami dumna jak paw  
i jego okiem spogląda na świat  
miłość ta jest kolorowa  
bezkompromisowa  
zdarza się że ucieknie jak spłoszony ptak  
lecz potem uparcie powraca  
i śpiewa na koronach drzew

miłość w Warszawskich Łazienkach jest

### cantata de sal

wniosłam w myśli sól twego ciała

celebrowałam jej smak zamysł zmysł  
z solnej materii powstawał pałac  
kryształ ciosany dotykiem chwil

budowla rosła w miarę istnienia  
w czasie dziwnym w cyklu bez dni  
ściany pęczniały sufit się zmieniał  
kurczyły okna malały drzwi

w solnych komnatach oddech gorący  
drażył bezwiednie snuł się to szalał  
rzeźbił w przestrzeni byt wędrujący  
tworząc posągi kreował marazm

stałam bez ruchu naga wpatrzona  
wśród stalagmitów i innych brył  
śniłam o tobie śniłam tak o nas  
świat ginął w dali ledwie już cmił

plotły się pnącza szkliste i słone  
składały w szczyty fale i kry  
patrzyły oczy łzami zamglone  
chwycił je stupor trzymał i kpił

dziw to nad dziwy niemoc tak wielka  
wśród ruchu soli wody i skroni  
gdy woni ducha moc niepojęta  
nie można ruszyć własnej swej dłoni

### tarantella

pomieszały nam się dłonie  
zaskoczony załęczniony  
w ciszy myśli i łaknieniu  
w przerażeniu i rozterce  
choć pewnością swą wiedzione  
zagubiły nam się ręce

dołączyły krople słone  
przyszły zewsząd  
były wszędzie  
pokłoniły się westchnieniom  
wzięły ciała w wiotkie lejce

strużki plotły się z palcami  
wiły w brudach po przeguby  
by za nimi aż po łokcie  
w rzeźbie żył popłynąć z trudem  
lecz uparcie

tak zawzięcie  
brnęły ku ramionom jedne  
kiedy inne osłupiały  
zapatrzaniem owładnięte  
opadały w tchnienia mgiełce  
niewidzialne znów na dłonie

te tańczeniem swym przejęte  
zapadały w skroni głębie  
gdzie w skupieniu zrozumieniu  
pełzły czule lekkie miękkie  
to znów wściekle oszalałe  
kotłowały się namiętnie

w tym przedziwie i bezkształcie  
wśród muzyki co z zadumy  
i marzenia dwojga istnień  
zwykła istnieć samoistnie  
zaginęły nasze dłonie

## Julia Fiedorczyk

### To jest pierwszy dzień reszty twojego życia

czas na zmiany  
więc moja dieta będzie odtąd doskonała  
im więcej zjesz tym dłużej żyjesz  
szlachetne zdrowie  
ekskluzywne kosmetyki uwzniośli  
moją konsystencję

to jest pierwszy dzień reszty twojego życia  
zanotuj w dzienniku  
od tej pory już nie grzesz  
żadnych batoników  
bo śniadanie to klucz do esencji  
bo gdybyś nawet silną wolę miał  
a śniadań nie jadał  
na nic twój trud

powtarzajmy: jeść jeść jeść  
kiedy czujesz głód  
jedz, człowieku, jedz  
siedemnaście posiłków dziennie  
lekki jak łabędzi puch

bo gdybyś nawet silną wolę miał  
a śniadań nie jadał  
na nic twój trud

a wystrzegaj się białego chleba powszedniego  
musisz tylko opanować kilka prostych zasad  
to jest pierwszy dzień reszty twojego życia  
a jutro następny

jedz, człowieku, jedz  
i chudnij  
to jest pierwszy dzień reszty twojego życia  
wkrótce będziesz w niebie  
gdzie na ciebie czeka  
zasłużony  
kawalek  
szarlotki

### Sorella la luna

E.P.

Niebywałość światła w tej potężnej nocy.  
Która nie ma źródła.  
Która nie maleje.

Twarz księżycy pocięta kreskami gałęzi,  
mozół mrówki, która nieustannie  
idzie do nieba.

Ponieważ mrówka jest częścią procesu,  
taniec starych sosen w tej ciemnej katedrze,  
gdzie jeden mrok łączy się z drugim.

Ponieważ liść jest częścią procesu,  
tylko żyć i umierać, żyć i umierać,  
żyć i umierać powoli

jak gwiazda. Te robią wrażenie,  
małe eksplozje wielkiej duszy świata,  
która nie ma źródła i rośnie.

*Mamo, jaka duuuuż muzyka!*  
Na styku sezonów,  
w czasie przejrzystym jak kryształek piasku,  
czułość jeży śpiących blisko tętna ziemi.

Wysoko w gałęziach szepty i wołanie.  
Pierwsze płatki śniegu na policzkach dziecka,  
kiedy biegniemy po prezent:

rozgwieżdżony listopad nad Narwią.

### Kolejny przełom w historii ludzkości

radość w TV  
opanowaliśmy nowe słowo bozon  
jesteśmy na żywo informowani  
o tym co widzimy  
całkiem nam nie straszne takie czarne dziurki  
(*What if darkness became unhinged right now?*  
to Ashbery, ale o czym innym)  
bo tak naprawdę wymiarów jest jedenaście

a wszechświat to gigantyczne organy  
i jak to jest stale być wyśpiwywanym  
o tym Coleridge w „Harfie Eolskiej”  
i Wordsworth w „Preludium” co prawda  
żaden z nich nie słyszał o superstrunach

blisko, coraz bliżej  
ciepło, coraz cieplej  
pytanie o częstotliwość głosu anioła  
w pewnym sensie jest to bowiem remake  
starych ideologicznych historii  
chodzi o odświętne zagęszczenie czasu  
żeby wszyscy przez chwilę popatrzyli w tę  
sama stronę

co i my czynimy  
przy zgaszonym świetle  
kiedy nas otacza szarość pełna szmerów  
i drżenia

### Ramię Oriona

Wielkie poruszenie na tych gładkich morzach,  
kłębią się ciężkie, ciemne ciała ryb.  
To duch awaryjnie ląduje na wodzie,  
ślizga się, tnie toń, wytraca prędkość, czas.

Czas rozdzielić poły słonecznego płaszcza,  
uwolnić wiatr –

i już.

Pył międzygwiazdowy na listkach pierwszych  
drzew.  
Rozmodlony zając strząsa słoną rosę,  
lgnie do ciepłej ziemi wsłuchany w jej musujące  
tętno.

Asymilacja i dysymilacja. CO<sub>2</sub>, H<sub>2</sub>O,  
i światło, światło, światło,  
przemiana materii w materię, wzrost  
i dojrzewanie  
w płaskim dysku falującej Galaktyki.  
Czarna śmierć pulsuje cicho pomiędzy  
gwiazdami,  
„Koło biegunu krąży wiecznymi obwodami” –

płomienna Betelgeuse, Rigel, Bellatrix –  
jadą Kosiarze na jesienne niebo, patrz!

Patrzmy. Masz we włosach mgłę i nitki  
pajęczyny,  
niesiesz reklamówkę pełną zimnych gruszek.

### Tlen

Pokażę ci miłość w jednej garści gwiazd.

Znasz feerie śniegu na przydrożnych liściach?  
Fioletowy kontur grudniowego dnia?  
Przyszłam tu, żeby oddychać.

Są mali tancerze w kropli rzecznej wody.  
Raje owadów za bramą ogrodu,  
gniazdo w zgięciu ramion tamtej grubej sosny,  
w gnieździe moich ramion mleczny oddech  
dziecka.

Lekko mieszkamy na wydechu świata,  
jeden mrok dodany do drugiego mroku.  
Usta przy policzku.  
Policzek przy udzie.

Lekko mieszkamy na wydechu świata,  
ciepła sierść wilczycy i jej ostre zęby,  
brzytwa mrozu gładzi ciemną skórę rzeki,  
jej mieszkańcy bezszelestnie opadają na dno.

Przyszłam tu, żeby oddychać.  
Smutek naszych rzeczy na zimowym niebie.  
Śnieg szybko topnieje na policzkach dziecka,  
nasze oczy śmieją się do gwiazd,

niebo spotyka gładką skórę rzeki,  
oddycham, oddycham więc jestem.

### Niebo

radość człowieka, który kłęka w śniegu  
duch świata  
tli się  
w jego krwi

Alnitak Alnilam i Mintaka ku wschodowi  
słońca  
za nim Syriusz, najjaśniejszy Pies

jeżeli Proxima jest satelitą Alfa Centauri  
to jej obrót wokół systemu trwa około miliona  
lat.

### Autoportret z makiem

przejdź przez szczęście i nic o tym nie wiedzieć  
człowiek nagle zbudzony  
pośród ładnych zgliszcz  
znam tę twarz  
ze zdjęć  
to tata  
patrzy ze mnie  
w lustro  
Sylvia Palth  
nie żyje  
od dwóch lat

JAROSŁAW STEJSKAŁ

# Skończył się dzień utrapień

(1)

Julian urodził się w 1908 roku w Zelowie, odległym około 16 km od Łasku. Dziadkowie Juliana przywędrowali do Zelowa, wraz z innymi Braciemi Czeskimi, po założeniu osady w roku 1802. Wcześniejszym miejscem ich pobytu był Tabor Wielki, położony niedaleko od Leszna. Droga czeskich emigrantów z Moraw, przez Tabor Wielki, do Zelowa była długa, pełna trosk, wyrzeczeń i upokorzeń. Według informacji zamieszczonej przez Editę Štříkovą w książce „Země otců”, rodzina Stejskałów, jak i wielu innych, przywędrowała z Moraw w okolice Taboru Wielkiego w 1749 roku.<sup>1</sup> Większość rodzin po opuszczeniu Taboru Wielkiego osiedliła się w Zelowie lub jego okolicach. Wśród nich były takie miejscowości jak: Faustynów, Pozdřenice, Józefów, Kuców i inne. Rodzina Stejskałów, jak i rodzina matki Juliana, z domu Kimmer, mieszkała w roku 1813 w otoczeniu domów, pól i lasów należących do Braci Czeskich, w osadzie nazwanej później Zelówkiem.<sup>2</sup>

Dom zbudowany z grubych drewnianych bali, kryty strzechą podobny był do wielu innych stojących w tej okolicy.

Część mieszkalna domu, przedzielona sienią, łączyła się ze stajnią i dalszymi pomieszczeniami gospodarczymi. W części mieszkalnej składającej się z dużego pomieszczenia i mniejszego pokoju wiodła życie liczna rodzina, składająca się z rodziców Karola i Elżbiety oraz pięciu braci i dwóch sióstr.

Niewielkie gospodarstwo rolne, z ziemią pośredniej klasy, nie było w stanie wyżywić tak licznej rodziny. Ojciec rodziny Karol miał zdolności szczególnego rodzaju, usuwania zębów. Była to jedyna osoba w całej okolicy, która mogła przynieść ulgę skrzępiącemu się z bólu mieszkańcowi Zelówka. Dla wyjaśnienia, część wiejska na końcu Zelowa, za Strugą, nazywana była Zelówkiem.

Używany alkohol, jako środek usmierzający ból, nie raz dodawał odwagi „lekarzowi chirurgii szczękowej”.

W młodym wieku zmarł ojciec, a matka z gromadką dzieci stała się bezradna. Praca w polu, w obejściu gospodarczym, troska o dzieci, była ciężarem nie do zazdroszczenia. Rodzinne więzy mieszkańców i wrodzone cechy niesienia pomocy potrzebującym, pozwoliły przetrwać rodzinie najtrudniejsze chwile. Brat matki, Emil, zamieszkał z osieroconą rodziną, i w miarę posiadanych sił, uprawiał rolę oraz hodował trzodę chlewną, na własne potrzeby domowników.

Ożywienie gospodarcze w latach dwudziestych, a szczególnie w latach 1926-1928, sprzyjało poszukiwaniom innych zajęć niż w gospodarstwie rolnym. W Zelowie i okolicach rozwijało się rękodzielnictwo tkackie. Potrzebne były rynki zbytu dla produkowanych wyrobów. Do Zelowa dochodzą w tym czasie informacje o rozwoju wsi i miasteczek na terenie Wołynia, zamieszkałego licznie przez rodziny pochodze-

nia czeskiego. Wielu mieszkańców z przeludnionego Zelowa przeprowadziło się na Wołyń w latach 1868-1871. Starszy brat Juliana, Józef, dowiedział się od innych lub też sam doszedł do takiego przekonania, aby poszukiwać możliwości zarobkowania na terenie Wołynia. W tym też celu udał się do miejscowości Michałowka, odległej o około 15 km od Równego. Michałowka założona została w 1878 roku przez rodziny pochodzenia czeskiego, które przybyły tam na lesiste tereny z Zelowa, Kucowa i innych okolic Łodzi.<sup>3</sup>

Niedługo po wyjeździe brata, Julian za skromną ilość pieniędzy, nabył od zelowskich fabrykantów kilka metrów „koszulówki” oraz niewielką ilość tkaniny pościelowej. Z takim bagażem tkanin na rowerze udał się na Wołyń do swojego brata. Nie wiadomo jak długo jechał i z jakimi perypetiami odbywała się podróż nim dotarł do miejscowości Michałowka. Mieszkańcy z zainteresowaniem słuchali wiadomości o rodzinnym mieście ich ojców, Zelowie. Pomogli też w korzystnej relacji sprzedać przywiezione tkaniny wśród znajomych.

Julian zadowolony z zawartych znajomości i sporym groszem w kieszeni wrócił do Zelowa. Teraz postanowił lepiej przygotować się do następnego wyjazdu na Wołyń. Młodzi, zdrowi i silni bracia Juliana pracowali często najemnie przy pracach polowych. Taka praca była mało opłacalna, można było z niej wyżyć, ale nie odłożyć pieniędzy na zakup towarów handlowych. Chłopcy dogadali się więc z fabrykantem, wypożyczyli ręczny warsztat tkacki, wstawili do pomieszczeń domu brata mamy, po drugiej stronie drogi, i próbowali podolać trudom nowych zajęć. Szybko nauczyli się techniki tkackiej na nieskomplikowanym warsztacie zbudowanym z solidnych drewnianych ram bocznych, kilku wałków przewalowych, nicielnicy i płochy. Początkowo stwarzało trochę trudności skorygowanie ruchów podnózek sterujących nicielnicami, z przerzutem czółenka z lewej na prawą stronę i z prawej na lewą stronę, za pomocą smyczki zakończonej tak zwaną gruszką. Do tego trzeba było jeszcze wykonać dobicie wátku przez ruch bidła mięśniami lewej ręki. Po kilku godzinach prób słysząc było z synchronizowany dźwięk warsztatu tkackiego.

W dzień i w nocy, na zmiany, pracowali bracia na krośnie, a siostry w tym czasie cewiły wátkowe szpule. Spieszyć się musiały solidnie, aby nadążyć z cewieniem dla trzech braci. Choć była sroga zima, to zapaleńcy rozgrzani ręczną pracą, nie zwracali uwagi na ten szczegół. Szczapa drzewa z lasu na dłużej starczyła, bo nie było czasu na dokładanie drwa do pieca.

Już czekali wiosny, aby wyruszyć w drogę na Wołyń. Wreszcie puściły mrozy i nad osadą coraz śmielej zaglądało słońce. Teraz już przez okno było można dojrzeć kołyszące się drzewa, które zamarznięte przez długie zimowe dni, ledwie przepuszczały dzień światła. Trzej

bracia: Adolf, Ottek i Julian, pochłonięci pracą tkacką, coraz mniej czasu poświęcali pracy na roli. Gdy tylko znikły zasy śnieżne, zaczęto przygotowywać się do wyjazdu na Wołyń. Julian za wszystkie pieniądze uciulane przez całą zimę oraz za udzieloną pożyczkę od ich pracodawcy nabył tyle tkanin, ile tylko zdołał zabrać ze sobą. Mundził, jeden z większych i obrotniejszych gospodarzy na Zelówku, wybierał się właśnie na przednówek do Łasku, żeby sprzedać ziemniaki, zbywające po odliczeniu sadzeniaków; zabrał też ze sobą kilka gęsi i kaczek. Ceny w Łasku były znacznie korzystniejsze niż te, które oferowano na targu w Zelowie. Julian, ze swoim towarem, zabrał się wozem z panem Mundzilem na dworzec kolejowy. Z Łasku, pociągiem przez Łódź, podróżował już wypróbowanym szlakiem na Wołyń. I tym razem ze zbytem towaru nie było kłopotu, a nawet przyjmowali zamówienia na następne dostawy. Powtórzyli jeszcze kilka kursów handlowych, wspomagając się także przesyłkami kurierskimi, oferowanym przez pocztę. Na miejscu, Józef z bratem Julianem, dogadali się z rodowitym Ukraińcem, niejakim Sandą, i wynajęli wóz konny dla celów handlowych. Zaopatrzeni nie tylko w wyroby zelowskich rzemieślników, ale także od innych dostawców, prowadzili handel w okolicach Michałowki.

Pieniądzy jednak wciąż było za mało na poszerzenie asortymentu handlowego, jak również na dowóz większej ilości koszulówki z Zelowa. Podróże pociągiem z bagażem podręcznym były zbyt kosztowne, aby rekompensowały zyski ze sprzedaży w odległym kraju. Julek kilka razy przyjeżdżał do Zelowa rowerem organizować przesyłki towarowe pocztą lub też dogadywał sprawę z konduktorem, co nie było sprawą łatwą. Do roweru zamocował prowizoryczny bagażnik i z załadowanym towarem udawał się w długą drogę na Wołyń. Była to długa i bardzo męcząca droga. Józef natomiast całkiem dobrze radził sobie z handlem obwoźnym. Do pomocy w pracach gospodarczych jak i prowadzenia rozliczeń finansowych zatrudnił młodą Annę, córkę zaprzyjaźnionego gospodarza z miasta Równa. Anna była nie tylko ładna, ale także sprytną dziewczyną. Szybko wdrożyła się w prace handlowe i gospodarcze, ku uciesze Józefa. Obdarzył ją całkowitym zaufaniem w zakresie rozliczeń finansowych. Choć jeszcze po wielu latach sama Anna z uśmiechem przypominała jaki test zaufania zastosował jej pracodawca. Już następnego dnia po przyjęciu jej do pracy cały dzienny utarg rozłożył na stole. Pozornie nie zwracał uwagi na przeliczenie gotówki przez Annę, jak i zapisania stanu przychodu do książki rachunkowej. Robił to przez kilka kolejnych dni, jakby to nie on prowadził interes, lecz sympatyczna Anna. Jak wspominała Anna, ten wytrawny handlowiec miał doskonałą orientację jaki był dzienny przychód z prowadzonego interesu. Wkrótce też Józef i Anna stanęli na



ślubnym kobiercu. Julek powrócił do Zelowa. Julian, młody, przystojny mężczyzna z ogładą światową i gotówką w kieszeni, imponował dziecinnyemu harującemu w pracach wiejskich.

To, czego nie udawało się innym chłopcom z Zelówka, on dość szybko dokonał. Zdobył zaufanie jednej z ładniejszych dziewcząt na Zelówka, Amalki Valtrovej. Po zaledwie półrocznej znajomości odbył się ślub córki jednego z zamożniejszych gospodarzy z obrotnym handlowcem.

Młodzi szybko zabrali się do organizacji produkcji rękodzielniczej. Po niedługim czasie brat i siostra nie nadawali z tkaniem osnów przygotowanych przez Juliana. Wkrótce też siostra Juliana, Helena wyjechała na Wołyń, aby wspomóc brata w szybkim obrocie towarem.

Spodziewane przyjsie na świat dziecka przyspieszyło decyzję budowy domu z zapleczem na produkcji przemysłowej. W porozumieniu z siostrą budują domek bliźniaczy na działce końcowej ulicy Kilińskiego. Równocześnie rozpoczyna budowę dom Adolf, po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko działki brata. Koszt budowy domków nie były zbyt wysokie, ponieważ drzewo na ich budowę otrzymali bracia z lasu rodziców. Jedyną trudność, to pogodzenie czasu nadzoru nad budową, z prowadzeniem interesu produkcyjno-handlowego.

W pierwszą rocznicę urodzin syna, rodzina wprowadziła się do własnego domu. Druga część domu, będąca własnością siostry, nie była jeszcze wykończona do zamieszkania, ale na działalność produkcyjną, z braku lepszej możliwości, było można wykorzystać. Każdy dzień był pomyślniejszy w obrocie towarowym, ale wymagało to coraz większego zaangażowania czasu i sił w przedsięwzięcie produkcyjne. Kiedy wydawało się, że wszystko zmierza ku lepszemu, nadszedł dzień 1 września 1939 roku. Wybuch wojny pokrzyżował wszystkie dalsze plany. Przez radio lampowe, zakupione kilka miesięcy przed wybuchem wojny, rodzice wraz z sąsiadami nasłuchiwali zastraszających wieści z frontu. Nie minęło zbyt wiele dni, gdy policja niemiecka zjawiła się w domu Juliana. Było to podobno za sprawą „uczynnych” sąsiadów. Oplombowano pomieszczenia zapelnione tkaninami. Nim przyjechała frachta po zarekwirowany towar, matka zdążyła ukryć resztki tkanin znajdujących się na strychu w wysokich kwiatkach, rosnących w ogródku, tuż za studnią. Cały dorobek wieloletniej pracy w jednej chwili został utracony. Nie pomogły żadne prośby o zwrot, choćby częściowo zrabowanego mienia. Dobrze, że tym zakończyła się akcja rekwirowania towaru, bez jednoczesnego aresztowania domowników. Wkrótce też wyszło zarządzenie o obowiązku zdania aparatów radiowych. Skończyło się w ten sposób ukradkiem nasłuchiwanie wieści o mobilizacji wojsk w innych krajach.

Pozbawienie rodziny środków do życia, z trójką małych dzieci, stwarzało nie lada problemy. Na szczęście uratowane resztki tkanin służyły jako towar wymienny za chleb, ziemniaki, marchew i mleko dla dzieci. Kilka skleconych naprędce klatek dla królików i jedna, albo dwie kury noski stanowiły cały żywy inwentarz, będący w dyspozycji rodziny. Dzień w dzień widać było przejeżdżające drogą wozy załadowane rodzinami z dziećmi. Były to przymusowe

wysiedlenia chłopów z wiejskich zagród.

Ojciec, podobnie jak wielu innych mężczyzn, chodził każdego dnia meldować się na „Arbeits-amt” w oczekiwaniu na transport wywozu na przymusowe roboty. Pan Kupec, znajomy rodziny, zatrudniony w niemieckim urzędzie pracy, jak długo mógł, tak długo przekładał na spód dokumenty wysyłki Juliana do Reichu. Ponad rok udawała się ta sztuczka, aż wreszcie wyjazd stał się faktem. Po okresie pracy w Pabianicach grupa robotników przymusowych została wywieziona do Machowa, na terenie obecnych Czech. Zatrudnieni w zakładzie zbrojeniowym pracownicy z Zelowa szybko nawiązali kontakty z tamtejszą ludnością. Znajomość języka czeskiego była ich sprzymierzeńcem.

Po roku, czy dwóch, ojciec przyjechał na kilka dni urlopu do domu. Matka chcąc ugościć głowę rodziny usmażyła jajecznicę z dwóch, czy trzech jajek na kolację dla całej rodziny. Po zaspokojeniu pierwszego głodu ojciec odezwał się z dużą rezerwą do domowników – aby jak najszybciej przyszedł taki czas, kiedy będzie można najeść się jajeczniczy do syta.

Po roku, czy też półtora, po tym krótkim urlopie ojca, zimową nocą, od strony Łodzi, widoczna była łuna złocistego blasku. Wszyscy wylegli na dwór w oczekiwaniu pojawienia się na niebie jakiegoś symbolicznego znaku, końca panowania Żelaznego Smoka. Znaków na niebie nie było, ale to światło było wynikiem łamania ostatniego bastionu oporu Niemców nad rzeką Grabią w okolicy Łasku. Nim noc się skończyła na drogach pojawiły się pojazdy i piesi żołnierze niemieccy, uciekający przed naporem wojsk rosyjskich. Żołnierze ci zatrzymywali się w domach na krótką chwilę, szukając odetchnienia i pożywienia. Nad mało składną kolumną pojazdów i rozczłonkowanymi oddziałami piechoty, nadlatywały samoloty dwupłatowce i z góry kosiły ostrzałem z karabinów maszynowych. Nieliczna ludność pochodzenia niemieckiego, zamieszkująca okolice Zelowa, biegała bezradnie z załadowanymi niewielkimi wózkami, to w jedną, to w drugą stronę, nie wiedząc, co dalej począć. W środku nocy odezwały się walenia w pozamykane drzwi – „adkrywaj, adkrywaj.” To od strony lasu nadciągały pierwsze oddziały wojsk rosyjskich.

Na podwórku rozstawili kuchnię polową i gotowali posiłki dla żołnierzy. Tu i ówdzie żołnierze niemieccy, wyczerpani ucieczką, przysypiali w zabudowaniach małego miasteczka. Była to ich ostatnia chwila życia, dla nich nowi przybysze nie mieli litości. Po krótkim odpoczynku Armia Radziecka pędziła w pościgu za uciekającymi w rozproszeniu wojskami niemieckimi.

Nastał wkrótce pozorny ład powojenny. Zorganizowana tymczasowa władza, wraz z utworzoną miejscową milicją, potrzebowała nowego wroga do zwalczania. Takim wrogiem stała się miejscowa ludność narodowości czeskiej.

Przed wojną właścicielami fabryk, dobrze sytuowanymi mieszkańcami byli w większości Czesi, Niemcy i Żydzi. Polacy wyróżniali się także samodzielnością i zamożnością, ale było ich niewiele. Nadarzyła się okazja, aby zmienić ten układ społecznej nierówności. Po zakońc-

niu wojny, tylko kilku z narodowości żydowskiej wróciło do miasteczka. Ludność narodowości niemieckiej, która jeszcze pozostała, schowała się w zaułkach miasteczka i nie stanowiła żadnego zagrożenia dla innych nacji. Pozostał jeden wróg, z którym postanowiono zrobić porządek, aby Polska była czysta jak szklanka. Rozbój i grabienie mienia ludności narodowości czeskiej stało się nagminne. Nie było jednej, spokojnej nocy, aby nie uprowadzono dobytku z obory, albo też nie dokonano kneblowania domowników i kradzieży mienia.

Większość ludności narodowości czeskiej zdecydowała się na wyjazd. Za drobny grosz sprzedawali domy, bydło, byle jak najszybciej opuścić niegościnnie kraj. Julek miał taki sam dylemat jak wielu innych, którzy z różnych względów nie mogli zdecydować się na wyjazd. Dwaj bracia i siostra, nie wważając na nic, wyjechali do Czechosłowacji. Józef, który ożenił się na Wołyniu, stamtąd bezpośrednio wyjechał także do Czechosłowacji. W Zelowie pozostał najmłodszy brat, Karol. Karol po przeżyciach wojennych, podczas bombardowań w Hanowerze, nie przywiązywał większej wagi do ułożenia sobie statecznego życia. Bez zobowiązań małżeńskich, bez troski o jutro, żył tym, co przyniósł dzień. Pozostała na gospodarstwie stara matka, niedowidząca, z kataraktą na oczach. Przy niej pozostał tylko jej starszy brat Emil. Nikt z rodziny nie troszczył się o to, co będzie z matką. Tylko Julek troszczył się o los bliskiej mu osoby.

Cała rodzina Amalii, żony Juliana, wyjechała, tylko ona sama z mężem i trójką dzieci pozostała tutaj. Tęskniła bardzo za bliskimi, a swój ból próbowała ukoić cichym śpiewem pieśni nabożnych, lub też całe cierpienie wyrazić w dźwiękach skrzypiec odziedziczonych po ojcu.

Następował powoli rozwój przemysłu, w tym włókienniczego w Łodzi i miejscowościach podlódzkich. W produkcji tkackiej Julek widział wielką przyszłość. Uruchoił ręczną produkcję tkanin koszulowych oraz tkanin wspanych. Był jednym z najlepszych w tej dziedzinie w Zelowie. W Czechosłowacji, po zakończeniu wojny, nastąpiło całkowite upaństwowienie przemysłu, a na działalność rzemieślniczą nie było najmniejszych szans. W Polsce natomiast rosły nadzieje na rozkwit prywatnej wytwórczości.

Aby rozwinąć działalność przemysłową na szerszą skalę trzeba było poszukać nowych obiektów produkcyjnych. Nadarzyła się okazja kupna domu, choć zamieszkałego przez trzech lokatorów, wraz z budynkiem fabrycznym. Nieduża fabryczka, z typowym dachem szedlowym, jakich było kilka w Zelowie. Niestety, obiekt ten był użytkowany przez Kółko Rolnicze do napraw maszyn rolniczych. Udało się w krótkim czasie wykwaterować jednego lokatora i zająć pomieszczenie mieszkalne, jednak na odzyskanie budynku fabrycznego nie było sposobu.

cdn.

<sup>1</sup> Edita Štěrliková, „Země otců, Spolek exulantů”, Praga 1995, s. 45

<sup>2</sup> Wojciech Kriegerisen, „Zbór ewangelicko-reformowany w Zelowie 1803-1939. Wydawnictwo Semper, Warszawa 1994, s. 103.

<sup>3</sup> Edita Štěrliková, „Země otců...”, op. cit., s. 146.

PAWEŁ KUSZCZYŃSKI

# Labor Omnia Vincit dla Mirosławy Prywer

## Laudacja wygłoszona na spotkaniu benefisowym Mirosławy Prywer

Obecność Mirosławy Prywer w wielu dziedzinach życia znamionuje wyjątkowe zaangażowanie i odpowiedzialność. Rzeczywiście jest Człowiekiem Pracy Organicznej. Wyróżnienie przez Towarzystwo im. Hipolita Cegielskiego w czasie uroczystej inauguracji XXXIV Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w jubileuszowym roku 90-lecia obecności ZLP w Poznaniu medalem „Labor Omnia Vincit” (*Praca wszystko zwycięża*) – było zatem zauważeniem jej niekwestionowanych zasług. To wyjątkowo solidna nauczycielka fizyki w wielkopolskich szkołach, a szczególnie w II Liceum Ogólnokształcącym zaznaczył się jej talent pedagoga i wychowawcy.

Jej związek z tym poznańskim Liceum zaowocował wszechstronnymi dokonaniem:

- w latach 1971-1982 opiekowała się Szkolnym Kołem Krajoznawczo-Turystycznym PTTK,
- w latach 1989-1992 prowadziła Koło Młodych Poetów, a od 1994 do 1998 roku była opiekunem Koła Literacko-Teatralnego „Otwarty Krąg”,
- była redaktorem trzech edycji Almanachu Młodych „Otwarty Krąg”,
- zredagowała tomik poezji „Symfonia czasu”, przygotowany na 90-lecie II LO, zawierający wiersze uczniów, absolwentów i przyjaciół szkoły.

Była reżyserem 14 montażu słowno-muzycznych (do własnych scenariuszy).

Wyjątkową maestrią wyróżniły się: „Rekwiem” (1995), prezentujący poezję śp. Tadeusza Śliwiaka, „Po prostu miłość” (1996) z wierszami członków Poznańskiego Oddziału ZLP, „W poetyckim sadzie” (1997) – poezja uczestników XX MLP, „Pamięć syci poezję” (2007) prezentujący utwory zmarłych członków Poznańskiego Oddziału ZLP, „W ogrodzie pamięci”, „W ogrodzie literatury” (2011) – prezentujący twórczość członków Poznańskiego Oddziału ZLP.



Mirosława Prywer

Koncertы poetycko-muzyczno-taneczne w wykonaniu wyjątkowo uzdolnionej młodzieży, reżyserowane przez Mirosławę Prywer są nie tylko dowodem profesjonalizmu artystycznego reżysera i scenarzysty oraz młodzieńczej wrażliwości.

Mirosława Prywer udowodniła, że jest sympatycznym krytykiem (by przywołać analogię z sympatycznym atramentem). Nie nazwie się nigdy krytykiem literackim, chociaż dobór tekstów, napisanych przez kolegów po piórze, świadczy o wielkiej umiejętności oceny ich artystycznej wartości oraz, co wcale nie jest takie powszechne, o szczególnej otwartości na twórczość innych autorów. Potrafi z pamięci cytować fragmenty prezentowanych utworów i zachwycać się nimi.

Osiągnięcia i zasługi Mirosławy Prywer były wielokrotnie zauważane:

- Złota Odznaka „Zasłużony w pracy PTTK wśród młodzieży” (1980),
- Honorowa Odznaka „Za rozwój turystyki i krajoznawstwa” (1981),
- Złoty Krzyż Zasługi (1986),
- Odznaka „Za zasługi w rozwoju województwa poznańskiego” (1989),
- Medal Komisji Edukacji Narodowej (1996),
- Odznaka „Zasłużony Działacz Kultury” (2001),
- Medal „Labor omnia vincit” (2011).

Mirosława Prywer, jako poetka, należy do tych twórców, których przesłania artystyczne, filozoficzne, moralne nie różnią się z postawą, zachowaniem, wyborami prezentowanymi w życiu. Jej poezję syci dobra pamięć o ludziach, przyrodzie, podróżach (nie tylko lirycznych...). Potrafi zauważyć drugiego człowieka, ptaka, drzewo.

Napíše: „Oczom smutnego człowieka / dodaję radości / w przeguby dłoni / przenoszę moc”; „topole otwierają bezlistne kryjówki / utrudzonym ptakom”; „Jeszcze sosny w śniegowej otulinie / a już zawilce białym okiem / wypatrują słońca”.

Przywołuje Polaków, którzy zasługują na naszą pamięć, a więc: Cyryla Ratajskiego, Ludwika Gąsiorowskiego, Stanisława Taczaka, a także tych „Wielkopolan, / którzy nie wrócili z gór”. Jej teksty stają się szkołą mądrego patriotyzmu.

Wskazuje na potrzebę nadziei, pytając: „Jak przekroczyć ocean czasu / oddzielający kontynent nadziei.” W pięknej metaforze ukazuje „barwę miłości”: „między zmierzchem i świtem / namiętność pieczętowali / wrzeniem krwi”.

Zatem miłość może trwać całe dni, przez wszystkie godziny!

Jednak wraca nadzieja: „Pełnia oddechu powróci / gdy słowiki trelami / napęlnią nadwarciańską wiklinę / a lilaki zapachem / wyzwolą zawrót głowy”.

Wiersze Mirosławy Prywer przepełnione są prostotą, w której życiowa mądrość ma swoje ważne miejsce. Nie znajdujemy w nich spekulowania niekomunikatywnością: „Cisza ostrzy wyobraźnię / na usta ciśnie pytania”.

A dalej chciałoby się powiedzieć: niesie zamyślenie, zdumienie. Ciszę wypęlnia najprostsze pytanie: Dlaczego? Spotyka wdzięczność, tę najpiękniejszą odpowiedź na dobroć: „Kłaniają mi się ciszy i jodły, świerki i sosny kuszą zapachem”. Można sobie powiedzieć: „Moje zmysły nienasycy-

ne / nie mogę się napatrzeć / wiruję z wiatrem / oddycham coraz głębiej / jestem wolna”.

Ma świadomość trudu pisania, a nawet bólu tworzenia: „Ile razy powtórzysz scenariusz”; – zapyta... „Wytrysnąć słowem / ważkim / do końca zrozumieć mowę kwiatów / nim ozdobią / welon przemijania”; „Myśli jak wędrowne ptaki / szybują wśród srebrnych brzoź / i czekają na słowo”.

Miejsce matki w swoim życiu ukazuje w oryginalnym obrazie: „Gdy wypłynęłam na ocean / nawet w czasie sztormów / słyszałam jej szept”.

Serce Mirosławy Prywer jest otwarte na wartości, na ludzi, których często darzy przyjaźnią, a więc mieszkańców Ostroroga, rodzinnego miasta, nauczycieli w Gostyniu, gdzie znalazła „Ważny promień”, swą miłość pierwszą i najważniejszą, na całe życie – męża Mariana – młodzieńca i urodziwa absolwentka fizyki na UAM: „rozjaśnione oczy / uczyły się twojej twarzy / a drobna dłoń / niczym perła w muszli / czekała na spełnienie”. Także wielu ludzi w Poznaniu obdarza przyjaźnią.

Pamięć o mężu Marianie ma wyjątkową postać, przesycona intensywną miłością: „Twoja arka / dopłynęła do brzegu / moja jeszcze dryfuje / ...ostatni spacer na ścieżce ratajskiej / z pocałunkiem / zatrzymanym w kadrze / ...Twoje oczy rozjaśnione / gdy w drzwiach stanęły córki”. „Rosłam przy Tobie / jak brzoza przy dębie”... „Twoje konary (Zapalonego podróżnika) obejmowały młodych wędrowców / żądnych przygody”.



Mirosława Prywer i Paweł Kuszczyński

Mirosława Prywer udowadnia swym życiem, posiadającymi kompetencjami emocjonalnymi, że praca zawodowa, działalność społeczna wśród młodzieży i w poznańskim środowisku pisarskim (od 1996 roku jest członkiem Związku Literatów Polskich, w latach 1996-2005 pełniła funkcję skarbnika, a obecnie należy do grona aktywnych i oddanych członków Poznańskiego Oddziału) – jest najbardziej wartościową formą obecności człowieka.

ADAM LEWANDOWSKI

# ...jak ślady na piasku

Miałem okazję do osobistych kontaktów z **Anną Zabacką** podczas – chociażby – corocznych Listopadów Poetyckich. Była zawsze okazją do wymiany poglądów, poetyckich improwizacji, a czasami drobnych, prywatnych zwierzeń. Poznaliśmy się podczas spotkań Poznańskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, które bardzo często organizuje spotkania literackie, które wzbudzają spore zainteresowanie. Zawsze zaintrygowana życiem, otoczeniem, śmiała i wesola. Urodziła się przed osiemdziesięciu laty w Średnicy na Podlasiu. Była absolwentką Liceum Pedagogiczne w Białymstoku, następnie filologii polskiej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu.

Pracowała jako nauczycielka języka ojczystego w Zielonej Górze, Kaliszu, a od 1969 roku w Poznaniu. Była wymagająca od siebie i od licznych swoich uczniów. Głębką wiedzą o niuansach polszczyzny często dzieliła się z nami, zwracając niejednokrotnie uwagę na poprawność formy gramatycznej i ortograficznej oraz fonetykę naszych wypowiedzi.

Jako poetka debiutowała w 1978 roku w ważnym piśmie kulturalnym, jakim było krakowskie „Życie Literackie”. Wiersze, opowiadania, recenzje książek koleżanek i kolegów po piórze publikowała w prasie krajowej (między innymi w „Tygodniku Ludowym”, „Nurcie”, „Metaforze”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Głosie Nauczycielskim”) oraz zagranicznej (w piśmie polonijnym wychodzącym w Australii).

Wydała 11 książek poetyckich o wiele mówiących tytułach: „Blisko ziemi” (1990), „Światłocienie” (1991), „Wyciszyć drogę” (1992), „Znaki słońca” (1993), „właściwy czas” (1994), „Przekroczyć granicę światła” (wybór wierszy, 1996), „Nie tylko echo” (1997), „Świty i zmierzchy” (1998), „Krzyk jak kamień” (dwa wydania: 1999, 2000), „Nieomyślność światła” (2002), „Przystań słowa” (2004).

W swojej poezji bardzo często ukazuje świat przyrody. Obrazy te stają się wytnieniem dla życia w czasach nieakceptowanej cywilizacji, niszczącej kulturę i zasady wyniesione z rodzinnego domu. Wzruszająca jest pamięć o Matce, która miała „słoneczne oczy jak plastry miodu z Ojcowej pasieki”. Często wiersze dedykowała rodzicom, przyjaciółom oraz swoim dzieciom: Barbarze i Januszowi. Przedwcześnie zmarłego męża wspomina wierszami o miłości przepelnionej wiernością i oddaniem: „Noce uczyły nas / sztuki kochania / jak drzewa wiosną, / kołysząc niebo”.

Wiele uwagi poświęciła ukochanym miejscom, wśród których królowało wspomniane Podlasie („w pamięci żywe wzory / dalekie od krętych dróg”), Kalisz z pięknym budynkiem teatru nad Prosną, plaża w Niechorzu, Kraków z hejnałem mariackim, i oczywiście Poznań z uliczkami wybiegającymi ze Starego Rynku. Drażniła ją rzeczywistość ze swoją bezmyślnością, nieuczciwością, pazernością oraz niegodziwością. W żaden sposób nie potrafiła pogodzić się ze wszechobecnym „wyścigiem szczurów”.

Trudno jej było zaakceptować życie w bloku: „Wyrwać się z blokowiska / stu okien / z koszarowej klatki / o zapachu nikotyny, / tanich potraw / nie kończących się remontów”. Podejmowała próby oswojania zbyt szybko umykającego czasu. Piękne były gesty Ani, gdy obdarowywała koleżanki i kolegów kartkami z wpisanymi – starannym pismem – złotymi myślami patrona ich imienia.



Anna Zabacka

Jej wiersze przetłumaczono na języki obce: angielski, francuski, grecki, hiszpański, czeski, niemiecki, rumuński, bułgarski, ukraiński, rosyjski, esperanto.

Wykorzystano teksty Pawła Kuszczynskiego, publikowane na stronie Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu.

## Anna Zabacka

### Drogowskazy

Bywa tak,  
że zasady wpajane przez lata,  
rozplywają się nagle  
jak ślady na piasku,  
puste potrzeby chwil  
niszczą ich trwałość  
i siłę.  
Bywa,  
że drogowskazem  
złe wzory  
fałszywych przyjaciół,  
żądza użycia  
spychają prawość  
na miejsce

ostatnie.

### Spowiadam się

Każdą darowaną chwilą,  
podziwem nad wielkością  
DZIEŁA STWÓRCY,  
bliznami bólu,  
co przepływa przez serce  
w latach  
deptania godności.  
Dziękuję  
za pokorę  
za dar widzenia  
dna czasów  
i świadomość  
nadziei.

### Do obrazu Jana Kocistra

Samotne  
drzewo nad stawem  
jak człowiek  
pochylony brzemieniem lat.  
Ciężą ramiona  
korzenie silnie  
trzymają się ziemi,  
a duch ulata w niebo,  
bo czas osłabia siły.  
Na widnokręgu las  
rozśpiewany chorałami wiosny  
pod niebem błękitnym  
jak ze snu.

### W hospicjum

Fotogramy  
ogrodu botanicznego  
w rozpryskach światła  
wpisane w baśniowe sploty  
– oazą dla oczu.  
Każda chwila tu  
oddala samotność,  
przybliża  
nieskażone wizje świata,  
wiarę w zmartwychwstanie  
piękna  
na przekór  
niespełnieniom.



Rys. Barbara Medajska

## Zamyślenia



## Wielkanocna opowieść

Nie możesz nazwać go... mordercą. Nie można tego tak powiedzieć, że John zwariował, oszalał w środku tego piekła. Jeśli buszują w tobie nerwy, nie dają ci spokoju, wychodzisz z licha opancerzonego transportera na skraju wioski, aby odetchnąć, lub odlać się i masz pewność, że nie zdarzy ci się coś zabawnego, gdyż czujesz na plecach ciarki strachu i języ ci się włos pod hełmem, na każdy podejrzany szelest zadrzy twój palec na spuście karabinu i będzie dziwne, że nie wypuściłeś serii kul. Przeklęty Afganistan! Pamiętasz imiona chłopaków, którzy nie wrócili pod namiot, ale nie obiecujesz im zemsty. Trzeba by napisać całą książkę o tym, co tu się wyprawia choćby z tą stertą spalonych książek. Koran, wyższa forma twórczej filozofii Islamu. Szaleństwo ich logiki napisane językiem paradoksu, prostej mowy i dwuznaczności. Ale to ich sprawa, sprawa ich wiary. A nasza wiara? Ona też mówi: nie zabijaj! A zatem John nie był mordercą.

Strzelał w obronie własnej. A ten pijany dzikus, który nocą opuścił kampus, przemazzerował pół kilometra, wystrzelał we wiosce szesnaście ludzi? Czy było w tym akcie bandytyzmu szukanie jakichś doznań i wrażeń? Przecież w tej małej wiosce nie było nic, na co by można było wpaść, żadnej ukrytej miny, żadnego uzbrojonego po zęby mężczyzny. John kontemplował swoje własne odchody, miał opuszczone spodnie i opuszczony palec na cynglu, kiedy padł strzał w jego stronę. Więc też pociągnął za spust. Jego kula nie trafiła, bo padł we własną kupę, ale jego karabin był celniejszy. W tym właśnie sęk, że zabił. Kiedy wrócił z patrolu, wypił wielką butelkę Coca-Coli i napisał wiersz, a w zasadzie wyrzucił go z siebie... Robił to w najdziwniejszych chwilach: w latrynie, w porze lunchu, a potem opychał te wiersze w pudło po fasowanych buciorach. Zafascynowany był „Szkolą Nowojorską”, Frankiem O’Harą, Johnem Ashberym, Kennethem Kochem i całą tą resztą. Na brezentowej ścianie namiotu powiesił jakiś obrazek Andy Warhola. Taki już był. Dopiero w Afganistanie zwrócił się ku jasnym stronom poezji. Lubił też słuchać muzyki. Tej z niezbyt odległej przeszłości. Zabicie jakiegoś Afgańczyka nie zaliczał do wzniosłego pomysłu. Kupa, którą produkował w krzakach, też nie była czynem wzniosłym. A kula z jego automatycznej broni? Kiedy cię przyciśnie podczas patrolu to jest to, czego wszyscy się boją. Boją się, jak diabli. Tali-

bowie, najzimniejsza z rzeczy, jaką znają w tym gorącym piekle. Tu są tylko piękne zachody słońca. Piękniejsze, niż w Kaliforni. Nie, John naprawdę nie był pomyłony, jak ten szaleniec, który pozabijał tak sobie dzieci i kobiety, paru mężczyzn. Ale był w żalonym stanie. Jak z kiegoś filmu o supergigantach w czas kryzysu przemysłu filmowego. I jego dotknął kryzys wartości, który rozlał się już na cały świat. Kryzys, o którym pisał swego czasu Frank O’Hara, że wszyscy ciągle na nowo musimy ustalać, kogo kochamy. Bohater John i ten gnój, który tyle razy naciskał spust karabinu. Wszystko pójdzie z dymem i strach paraliżujący, animozje, podsycana nienawiść i płomienne przemówienia generałów. Te na tle flagi gwiazdzistej. „Nie strzelaj, gdy biel wolności lśni na twojej lufie, póki generał się nie złęknie”. Pijany sierżant szedł z wizytą do przyjaciół. I zachował się tak, jakby bycie żołnierzem stanowiło najnaturalniejszą rzecz pod afgańskim niebem u niegościnych dzikusów. Tu strach pokrywa nas jak gips. Kiedy John dostanie przepustkę na żołnierski urlop, gdzieś w Southampton, w swoim rodzinnym domu, przeczyta swój wiersz z Afganistanu kilku kumpłom, jego liryczne spełnienie emocyjne, może się też poplacz, trochę popije domowej nalewki i lokalnemu gryziopiórkowi z „New York Times” powie krótko: wszystko jest O.K. I czas świąt Wielkiej Nocy jest O.K. Zwłaszcza na urlopie...

KAZIMIERZ IWOSZE



## Pieniądz, a cnota umiaru

Na początku księgi prądziejów ludzkość nie znała pieniędzy. Potrzebne towary uzyskiwano na zasadzie wymiany. Z czasem niektóre z nich [np. sól, zboże] zaczęły pełnić funkcję pieniądza pierwotnego. Około VII w. p.n.e. Fenicjanie wymyślili pieniądz kruszcowy czyli monetarny. Pieniądz papierowy, bezgotówkowy, wreszcie elektroniczny; przyniósł ludziom emocje, pragnienia, żądze, namiętności, chwile szczęścia, ale często tragedie, zbrodnie i wojny. Czy nowoczesny świat bez pieniądza byłby możliwy? Nasza kultura europejska wyrosła ze starożytnych śródziemnomorskich korzeni. Warto więc przypomnieć, że zarówno Arystoteles jak i Platon dostrzegali w pieniądzu jedynie zło konieczne.<sup>[1]</sup>

Z czasem pieniądz zaczął być pożyczany i to spowodowało pakiet problemów, składających się na to, co zostało nazwane lichwą. W Polsce lichwa istniała od X wieku, przeważnie w formie pożyczki pod zastaw, traktowanej jako rodzaj kupna-sprzedaży.

Z lichwą i lichwiarzami spotykamy się często w literaturze, chociażby na kartach *Lalki* Prusa. Dzisiaj to słowo jest rzadko używane. Dlaczego? Czyżby lichwa zniknęła z naszego

życia? Nie, panoszy się bardziej niż kiedykolwiek, przebrała się jednak w szaty maskujące jej charakter. O wiele lepiej brzmi przecież powiedzenie o wzięciu kredytu z banku niż o pójściu do lichwiarza. Lichwiarz był zawsze postrzegany jako element podejrzany, natomiast współczesny bank jawi się jako instytucja godna zaufania. Wszystko jest w nim teoretycznie bezpieczne, często jednak okazuje się, że klient czegoś w umowie nie zrozumiał czy nie zauważył i jest potem zobowiązany do zapłacenia odsetek, na jakie go nie stać i jakich się nie spodziewał. Niewiedza nie zwalnia wszak od odpowiedzialności.

Zjawisko lichwy było znane już w starożytności. Jednak ani starożytna filozofia ani nauka Ojców Kościoła oparta na Ewangelii, nie pozostawiała złudzeń, co do tego, że człowiek uczciwy nie może czerpać korzyści z procedury polegającego na pobieraniu odsetek od pożyczanego kapitału.<sup>[2]</sup> Doktor Kościoła Tomasz z Akwinu w *Summie Teologicznej* powiedział wprost, że wszelka interesowna pożyczka, mająca na celu zysk, jest lichwą, rzeczą niesprawiedliwą i grzechem śmiertelnym. Zajmowali się tym problemem również polscy filozofowie.

W księdze Mateusza z Krakowa [XV w.] pt. *O nabywaniu i przekazywaniu dóbr, podstawowe pojęcia, lichwa i etyka kupiecka*, autor powołuje się na autorytet Pisma Świętego, zarówno Nowego jak i Starego Testamentu i głosi, że pożyczka jest przejawem miłości braterskiej, natomiast lichwa stanowi wypaczenie cnót chrześcijańskich i jest ich zaprzeczeniem.<sup>[3]</sup> Mateusz uzasadniał w swym dziele niedopuszczalność osiągnięcia zysku z pożyczki nie tylko odwołując się do wartości chrześcijańskich<sup>[4]</sup> ale też powołując się na zasadę symetrii zysków i strat.<sup>[5]</sup> Autor Księgi uznał za niedopuszczalną lichwę, wynagrodzenie pobierane z tytułu samej pożyczki; dopuszczał jednak pobieranie wynagrodzenia za pracę wykonaną np. przy przewożeniu i przeliczaniu pieniędzy. Uznał też, że pożyczkodawca może słusznie przyjąć od pożyczkobiorcy to, co ten daje „nie z tytułu pożyczki, ale z dobrej woli lub kierując się innym sprawiedliwym i pobożnym motywem.”

W czasach średniowiecza w społecznościach chrześcijańskich zostało mocno ugruntowane negatywne stanowisko, nie tylko odnośnie lichwy, ale w ogóle pieniądza jako źródła zła. Kiedy w XIV wieku król Aragonii Piotr IV, poprosił stany Aragonii o przysłanie potrzebnych mu pieniędzy, otrzymał odpowiedź, że dawanie pieniędzy jest sprawą Żydów i Maurów a nie chrześcijańskich poddanych, którzy służą królowi osobście.<sup>[6]</sup>

U Arystotelesa ocena lichwy wynikała ze starożytnego, greckiego, filozoficznego przekonania o bezpłodności pieniądza i opisana jest jako zniechęcające, najpodlejsze zajęcie oparte na wyzysku, będące sposobem zarobkowania przeciwnym naturze.<sup>[7]</sup>

Interesujące wydaje się porównanie jak na poglądy wielkiego Filozofa patrzył dwa tysiące

(Dokończenie na stronie 13)

## BADŹ CO BADŹ



IGOR WIECZOREK

## Boskie Kule

Pan Bóg rozdawał kule. Czynił to tak umiejętnie, że żaden z obdarowanych nie mógł go na tym przyłapać.

Kupiec sortował banknoty. Kiedy znalazł wśród ich sterty boską kulę, włożył ją w kieszeń i powiedział: „Dotąd byłem człowiekiem majątnym, a odtąd jestem majątkiem.” To rzekłszy kazał ogłosić, że wszedł w posiadanie wszechrzeczy.

Następnego dnia rano wzburzony tłum wyległ na place targowe. – Ten wariat kupiec znowu się wzbogacił naszym kosztem! – krzykli pyskaci przywódcy, a zebrani wtórowali im ochoczo.

Minister sprawował urząd. Gdy zobaczył na swym biurku boską kulę, ujął ją w dwa palce i powiedział: „Dotąd mogłem bardzo, bardzo wiele, a odtąd sam jestem wielki.” To rzekłszy kazał ogłosić, że jego władza jest pełna.

Następnego dnia rano wzburzony tłum wyległ przed budynek Ministerstwa. – Ten minister to szaleniec i despota! – krzykli pyskaci przywódcy, a zebrani wtórowali im ochoczo.

Kapłani dzierżyli rząd dusz. Gdy dostrzegli u stóp wiernych boską kulę, zatarli ręce i rzekli: „Dotąd zawsze mieliśmy rację, a odtąd jesteśmy wyrocznią. To rzekłszy kazali rozbić w sercu miasta wielki namiot i umieścić pod nim wszystkie swe relikwie.

Następnego dnia rano wzburzony tłum wyległ na plac przed namiotem. – Kapłani są bardzo fałszywi! – krzykli pyskaci przywódcy, a zebrani wtórowali im ochoczo.

W małym domku na przedmieściu mieszkał sobie człowiek Nikt. Odkąd stracił wiarę w swe istnienie, zmienił się nie do poznania. Zmienił się tak bardzo i tak szybko, że w końcu pozostał sobą. Sobą to znaczy – Nikim. Kiedy znalazł u wezgłowia boską kulę, poczuł się rozczarowany.

Następnego dnia rano wzburzony tłum wyległ na podwórko jego domku. – Kapłani są

bardzo fałszywi! – krzyknęli pyskaci przywódcy i złożyli dłonie jak w modlitwie. – Pan minister to szaleniec i despota! – dorzucili ochoczo zebrani i zrównali mały domek z ziemią. – Kupiec znowu się wzbogacił naszym kosztem! – skwitowano sprawę zgodnym chórem i włożono człowiekowi kulę w usta.

Pan Bóg rozpedził tłum i skrzętnie pozbiierał swe kule. – Dlaczego wciąż czujesz się nikim? – zapytał człowieka ze śmiechem. Lecz Nikt mu nie odpowiedział, bo usta zatkała miala kulą, o której Pan Bóg zapomniał.

## Stanisław Nyczaj

### O Wisławie Szymborskiej

(tryptyk limeryczny)

1.

Szymborska na chmurce pisze wiersz liryczny dymkiem z papierosa, żeby był magiczny.

Przy tym mruga do kamery,  
że to raczej jest limeryk,  
do tego szalony, bo tragicomiczny.

2.

Wygodnie Wisławie na tej chmurce małej.  
Jest, choć tak niewielka, jej królestwem całym,  
blaskiem słońca okolonym,  
snem księżycy posrebrzonym,  
gdzie na wywiad się wprasza jedyny  
wiatr-śmiałek.

3.

Nobliska odmawia bliższych komentarzy  
do czasu, co minął i jaki się zdarzy.  
Puszcza z dymkiem papierosa  
zapytania koło nosa.

Wszystko, co ustalono, akceptując – podważa.

## Pieniądz, a cnota umiaru

(Dokończenie ze strony 12)

lat później jego tłumacz Sebastian Petrycy z Pilzna. W wieku XVII, a konkretnie w roku 1605, ukazało się jego polskie tłumaczenie *Polityki* Arystotelesowej, wzbogacone o przestrogi [przypisy do rozdziałów] i przydatki [komentarze-rozpawki], umieszczone na końcu każdej księgi, a także krótkie komentarze zapisane na marginesach. Petrycemu, który był filozofem, medykem i praktykującym katolikiem było dobrze znane stanowisko zarówno Kościoła jak i starożytnych filozofów. Pisze on<sup>[8]</sup>, że:

– „lichwa jest nieprzystojna [...] jest to przeciwko przyrodzeniu, aby grosz grosz urodził”.

– „przez lichwę nabywamy pieniędzy, gdy pożyczanymi pieniędzmi zysku jakiego do-

stajemy: od stu złotych bierzemy pięć lub dziesięć”.

Interesująca i zaskakująca jest wysokość lichwy podana przez Petrycego. Jak ma się ten procent do naliczanego obecnie w wysokości, która powoduje, że obywatele tracą często nie tylko dorobek całego życia ale i możliwość nawet najskromniejszej ale godnej egzystencji? Co stało się z nami, ludźmi, że tak daleko odeszliśmy od wartości wyznawanych nie tylko przez starożytnych filozofów jak i przez Ojców i Doktorów Kościoła? Tak daleko, że nawet nie zauważyliśmy jak zmienił się nasz sposób myślenia. Tak daleko, że nie pamiętamy [może nie chcemy pamiętać] o tym, że lichwa to problem nie tylko finansowy, ale również filozoficzny i moralny...

Państwo miało być i powinno być wspólnotą obywateli powołaną dla dobra powszechnego<sup>[9]</sup> W naszych czasach banki stały się instytucjami ponadpaństwowymi. Państwo ogranicza się do pobierania podatku od rzekomych dochodów z lokat, a przecież obywatele mający lokaty, a więc pożyczający swoje pieniądze bankom, z których te ostatnie czerpią wielkie zyski, otrzymują procent niższy od procenta inflacji. Banki wyyskują zarówno tych którym pożyczają w formie wysokooprocentowanych kredytów jak i tych od których same przyjmują pożyczki w formie nisko oprocentowanych lokat.

Starożytni cenili umiar, a Arystoteles za najlepszy ustrój uważał taki, który sprzyjał rozwojowi klasy średniej.<sup>[10]</sup> Historia potwierdziła już nieraz, że źle się dzieje kiedy dochodzi do rozwarstwienia społeczeństwa i w miejsce klasy średniej powstaje mała grupa milionerów i wielka liczba nędzarzy.

Idee, wartości, zasady, umiar i cnoty... Uważane są obecnie za niemodne, niepraktyczne i niepotrzebne, ale czy bez nich ludzkość ma przed sobą jakąś przyszłość?

Warszawa, 20. II 2012 roku

JURATA BOGNA SERAFIŃSKA

### Przypisy:

<sup>[1]</sup> Georg Simmel, *Filozofia pieniądza*, Aletheja 2012 cz. analityczna, r. 3 podr. II, s. 259.

<sup>[2]</sup> *Biblia Tysiąclecia*, Pallatinum Poznań – Warszawa 1971, Księga Wyjścia 22,24, s. 87; tamże, Księga powtórzonego Prawa 23,20, s. 192.

<sup>[3]</sup> Mateusz z Krakowa, *O nabywaniu i przekazywaniu dóbr*, Kęty 2011, cz. II, r. I, s. 137: – „przy pożyczaniu nie należy oczekiwać niczego więcej niż zwrot pożyczonej sumy”.

<sup>[4]</sup> Tamże, część II, rozdział I, s. 141 – „o tym mowa w Ewangelii Łukasza, w szóstym rozdziale „bądźcie miłosierni, jak miłosierny jest wasz Ojciec”.

<sup>[5]</sup> Tamże, część II, rozdział II, s. 145: – jeśli chcesz mieć udział w zysku z pieniędzy, winiem również ponosić obciążenie ryzykiem”.

<sup>[6]</sup> Georg Simmel, *Filozofia pieniądza*, Aletheja 2012, cz. Synteza, rozdz. 5 podr. II, s. 449.

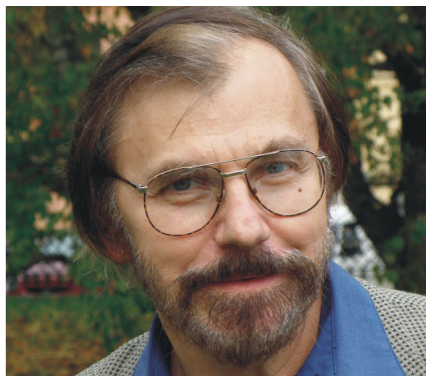
<sup>[7]</sup> Arystoteles, *Polityka*, Ks. I., rozdział 3, „Rola pieniądza”, s. 39.

<sup>[8]</sup> Sebastian Petrycy, *Pisma wybrane*, t. II *Przydatki do Ekonomiki Arystotelesowej* s. 103.

<sup>[9]</sup> Arystoteles, *Polityka*, Wyd. PWN, Warszawa 2011, t. Ludwik Piotrowicz, ks. III, s. 93 – „celem jest dobro [...] dobrem w państwie jest sprawiedliwość, sprawiedliwość zaś jest to, co dla ogółu pożyteczne”.

<sup>[10]</sup> Tamże, księga II, s. 57.

## Listy do Pani A. (45)



## Tango scleroso

Droga Pani!

Życie kulturalne i literackie biegnie swoim torem, nie zawsze zależnym od łaskawości urzędasów. Niech to będzie jakimś optymistycznym akcentem moich listów, bo ostatnio płakałem nad losem literatury, zapominaniem o poetach, a także nad tak zwaną kondycją człowieka, czyli nad własnymi – że użyję terminu Zygmunta Lichniaka – „targansami wewnętrznymi”.

A tu aż tyle imprez literackich. U nas w Związku – promocja książki znakomitego pisarza ukraińskiego, Wołodymyra Jaworiwskiego. Niesamowita proza, przejmująca, o swoistej, niepowtarzalnej tonacji. Fragmenty czytał Krzysztof Gosztyła, który po mistrzowsku wydobyl jej charakterystyczne akcenty. Przyszło sporo osób, zresztą na naszych spotkaniach prawie zawsze są komplety. Niech Pani zgadnie, kto tę prozę wydał? Oczywiście – Adam Marszałek.

Zaraz też musiałem znowu ruszyć się z domu, bo w Klubie Księgarza prezentacja tomu wierszy Andrzeja Angelarda „Dotykanie słowa”. A potem – dotykanie kieliszków w towarzystwie Andrzeja Żora, Zbyszka Milewskiego, Leszka Żulińskiego. Takie chwile świadczą o tym, że nie wszystko jeszcze w naszym środowisku umarło. A nie będę już Panią pytał o wydawcę – bo już na pewno Pani dobrze wie...

Najważniejszym akcentem był niewątpliwie jubileusz 75-lecia Marka Wawrzekiewicza. Mówiło się o tym już od dawna, aż wreszcie przyszedł ten dzień, kiedy zebraliśmy się w auli Domu Literatury. Z początku bałem się, że tego nie przeżyję. Części oficjalnej nie, ale bankietu. Tymczasem stało się odwrotnie. To znaczy przeżyłem. Tylko trzygodzinne siedzenie na krześle spowodowało u mnie stwardnienie umiejscowione pewnej części ciała. Zresztą nie było czasu myśleć o tej części Maryni, a co dopiero swojej... Po prostu było ciekawie. Najpierw gratulacje, odczytywanie adresów do Jubilata, który dostojnie siedział na czerwonym tronie. Całość znakomicie prowadzili nasi koledzy, Andrzej Żor i Rysiek Ulicki. Przemawiał też, krótko i dowcipnie, doktor Adam Marszałek, niezastąpiony, jak Pani widzi, wydawca i nasz – poetów – niezawodny mecenas i przyjaciel. Przywiózł ze sobą wydany z okazji jubileuszu tom wierszy Marka Wawrzekiewicza „Epizod”. Ładna, nostalgiczna okładka: bezkres morski

mieniący się różnymi odcieniami wody, a na horyzoncie mały, z naszej perspektywy, stateczek.

Trochę mi się flaki wyróciły, Pani zapewne też nadobne kiszeczki, bo jestem przekonany, że Pani tam była, kiedy odczytywano list od prezydent Warszawy, Hanny Gronkiewicz-Waltz. Padały tam słowa o zasługach Marka, o jego wkładzie w literaturę i kulturę, była wymieniona nawet Warszawska Jesień Poezji. Tymczasem wiadomo, że działalność Związku Literatów Polskich paniusi nie obchodzi. Nawet wygląda na to, że samo istnienie naszej organizacji oraz „jakiegoś” Marka Wawrzekiewicza jest solą w oku. Na WJP nie dostaliśmy ani grosza, pisma pozostawały bez odpowiedzi. Nawet któregoś roku składaliśmy na podwórzu Urzędu m.st. Warszawy żalobny wieniec, by zademonstrować rychłą śmierć Festiwalu, na który Miasto nie dało grosza. I jak tu w myśl haselka zakochać się w Warszawie, tak spaskudzonej przez nieudolne władze. Ale z racji jubileuszu nie zawadzi wysmażyć kilku obłudnych słów, za którymi nie idzie nic.

Jeszcze trzy laudacje – estetyzująca Andrzej Gromczewskiego, rzeczowa i dowcipna Andrzej Zieniewicza, systematyzująca i może nieco „filologiczna” Leszka Żulińskiego. Wszystkie trzy dobrze się dopełniały. I już można było dać ulgę sempiternom.

A potem część artystyczna. Nie, jeszcze nie bankiet. Recytacja wierszy Marka. Zrobili to świetnie Joanna Rawik, Andrzej Ferenc, Krzysztof Gosztyła, Ewa Serwa, Paweł Galia, Katarzyna Ulicka-Pyda, Agnieszka Wawrzekiewicz-Kowalska, Paweł Kowalski – córka i zięć Marka. Występowali również Bohdan Łazuka, który jakoś trzymał się na nogach, Czesław Majewski i Leszek Szprot. Dopiero podczas tej części można było zapomnieć o urzędowo-podniosłej atmosferze. Wiadomo, że przy takich okazjach nadmają się najmniej zasłużeni dygnitarze. Marek na zakończenie uroczystości dokonał życiowego bilansu, refleksyjnie, lirycznie, wzruszająco.

Wreszcie przyszedł czas bankietu. Może trochę za bardzo się nakręcałem i demonizowałem, mając w pamięci czasy trochę dawniejsze. Bałem się, że nie utrzymam się w ryzach z powodu nieumiarkowania. Było jednak bardzo miło i przyjemnie. W kawiarni i restauracji „Literatka” Marek wynajął dwie sale, górną i dolną. Przyszło z pewnością ponad sto osób i wszyscy się pomieścili, a na dole było całkiem luźno. Nie wszyscy legalnie – bo jednak wepchnął się „toważ krzyworyjny”, choćby pewne znane wszystkim z bezczelności babsko udająca następczynię Symborskiej i wpychającej się wszędzie bez zaproszenia. Podano dobry gulasz, jakieś sałatki, wódkę i wino. Wypiłem co nieco wódeczki, potem sobie robiłem drinki z sokiem jabłkowym. Ale żadnej grozy nie było, wszyscy trzymali fason. I pogadać było z kim, między innymi z Gnarowskimi, Milewskimi, Manasterskimi, Aldoną Borowicz, Andrzejem Hągmajerem, który jest moim szkolnym kolegą. Przyjechał też z Krakowa poeta Aarne Puu, który, choć Fin, jest od lat pracownikiem naukowym UJ. Ucieszyłem się, kiedy powiedział, że lekturę „Gazety Kulturalnej” zaczyna od moich listów do Pani. Sporo gości spoza Warszawy. Na zakończenie był tort, zupełnie dobry, a ja już po tym wszystkim tęskni-

łem za czymś słodkim. Marek był przejęty, pod koniec wprawdzie nieskazitelnie pionowy, ale już jakby troszkę mniej kumaty.

Tak więc wszystko skończyło się szczęśliwie, pomyślnie, a Pani zapewne niezauważalnie nade mną czuwała. Ach, ta niepoprawna wyobraźnia!

Może nie bania, ale banieczka z imprezami kulturalnymi się rozbiła, bo nagle dowiedziałem się, że w Zachęcie organizują spotkanie z rzeźbiarką i świeżo upieczoną pisarką Moniką Osiecką, która ostatnio wydała osobliwą książkę „Fragmenty lustra”. Znalazła się tam jej bardzo osobista proza, a także foty rzeźb, niemal ich katalog, oraz inne zdjęcia. Postanowiłem pójść na tę promocję, bo zainteresowała mnie twórczość literacka artystki, a poza tym... miał być na tym spotkaniu ktoś Pani bliski. Nawet zabrałem głos i zadałem autorce pytanie, w jaki sposób doświadczenia rzeźbiarskie przekładają się na jej warsztat literacki. Powiedziałem efektownie, że wprawdzie pisarz nie potrzebuje piły tarczowej, takiej jak do kamienia, ale ponieważ słowo jest równie opornym tworzywem, to potrzebna jest swoista piła duchowa, wewnętrzna. I tak starałem się rozpuścić, zapewne na próżno, swój z lekka wyskubany pawiegon.

Nie minęło dużo czasu, kiedy w SEC-u zorganizowano spotkanie poświęcone Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. Bardzo ciekawie o kulturowych związkach Jarosława ze Wschodem i Zachodem mówił Radosław Romaniuk, współredaktor „Dzienników”. Innym, świetnym wystąpieniem był głos Waclawa Sadowskiego. Co za polszczyzna, co za logika wypowiedzi, któż dziś jeszcze potrafi tak mówić! Na podobnych sympozjonach mamy zawsze do czynienia ze swoistą paradą oszustów. Otóż każdy z mówców obiecuje, że będzie mówić krótko, wszyscy się cieszą, a tymczasem żaden z nich nie dotrzymuje słowa... Pół biedy jeśli mówi ciekawie, jak Sadowski (który utrzymał się również w czasowych rygorach).

A potem lampka wina, rozmowy towarzyskie. Bardzo to lubię, jeśli są znajomi. Tym razem byli Termerowie, Milewscy, Kabatowicze i wiele innych osób. Coraz częściej łapię się na tym, że coraz mniej pamiętam zdarzeń, które miały miejsce bardzo niedawno. Dlatego piszę „było wiele innych osób”, bo w coraz bardziej zaborczy sposób zaprasza mnie do tanga moja nowa kandydatka na towarzyszkę życia – sklerozą.

Tymczasem na Ochocie Kalina Ziola, która przyjeżdża do mnie co jakiś czas na warsztaty, miała (wraz ze Sławomirem Mierzejewskim, też moim „podopiecznym”) wieczór poetycki. Tydzień później podobny wieczorek Antoniny Marcinkiewicz i Mirosława Kossakowskiego. Prowadziłem oba wraz z naszą kierowniczką Janiną Pytką. Jakoś to wyszło, choć byłem trochę zakręcony, nie bardzo wiedziałem co mówię i robię.

Może wtedy o Pani myślałem? Nie lubię też reflektorów, światła bijącego w oczy. To wszystko mnie rozprasza. Nie widząc, kto siedzi na widowni – tym ostrzej widzę Pani twarz. Poznaje, pomimo sklerozy. Chociaż... Kto wie, czy to jest ta sama twarz, co jeszcze kilka miesięcy temu? W każdym razie z niezmienną serdecznością, świątecznie i wiosennie Panią pozdrawiam -

STEFAN JURKOWSKI

## Rozmyślenia



## „Sprawa Tomasza Raczka”

*W ostatnim czasie, na kulturalnej mapie Polski, mają miejsce ciekawe wydarzenia. Głównie za sprawą wydumanych ambicji tych twórców, którym wydaje się, że to, co robią, jest tak genialne, że każdy musi ich „wiekopomne dzieło” zobaczyć. Dotyczy to twórców z różnych dziedzin sztuki, ale to, co stało się w polskim kinie, przekroczyło wszelkie granice zdrowego rozsądku.*

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Jakiś czas temu odbyła się premiera najnowszej polskiej komedii „Kac Wawa” w reżyserii Łukasza Karwowskiego. Dwa dni po premierze Tomasz Raczek skrytykował film na swoim profilu facebookowym: *A więc byłem na filmie KAC WAWA i muszę przyznać, że dawno już nie pamiętam abym w kinie był tak głęboko zażenowany. To nie jest po prostu zły film. Ten film jest jak choroba, jak nowotwór złośliwy: zabija wiarę w kino i szacunek do aktorów. Patrząc na Romę Gąsiorowską, Sonię Bohosiewicz i Borysa Szycy, grających główne role, czułem się tak jakbym patrzył jak ktoś przerabia kochanych członków rodziny na dziwki i alfonsów. Szczepke i nieodwołalnie odradzam pójście na KAC WAWA do kina. Ten film powinien ponieść klęskę frekwencyjną — może to nauczyłoby czegoś producentów. WSTYD!*

Swoją opinię o filmie powtórzył w telewizji. Producent, a jednocześnie współscenarzysta tego filmu Jacek Samojłowicz, postanowił iść do sądu. Twierdzi on, że Tomasz Raczek swoimi wypowiedziami wezwał widzów do zbojkotowania jego produkcji, a tym samym przyczynił się do strat „kilkumilionów”. Sugeruje również, że dziennikarz przekroczył granicę etyki zawodowej: *Przez tego pana straciłem kilka milionów wpływów. I takiej sumy będę się domagał na drodze sądowej.*

*Oczekuję, że Tomasz Raczek straci wiarygodność jako krytyk filmowy, bo zdaniem moich prawników przekroczył granicę krytyki filmowej i złamał zasady etyki dziennikarskiej, być może ze względów osobistych.*

Czegoś tak absurdalnego nie słyszałem od kilku dobrych lat. Czy to znaczy, że już żaden krytyk nie może wyrazić swojej opinii na temat oglądanego, słuchanego czy czytanego „dzieła”? Po to jest zawód krytyka, żeby — jeśli jest taka potrzeba — ostrzec odbiorców przed „produkcjami” kulturalnymi, które nie dość, że są złe, to na dodatek jeszcze szkodliwe — nie tylko dla kultury narodowej.

Przykład tego „konfliktu” pokazuje, jak bardzo zdegradowany został obraz polskiego twórcy, polskiego producenta, mecenasa.

— Tak, ja będę finansował pewnie przedsięwzięcia kulturalne, ale pod warunkiem, że wszyscy będą mnie głaskać — zdaje się brzmieć głos rozgoryczonego krytyką producenta. Pan producent i współscenarzysta jednocześnie zapomniał tylko o jednym, że już dawno minęły czasy, kiedy dyspozycyjni recenzenci i krytycy pisali to, co było wygodne. Trzeba jednak powiedzieć, że i dzisiaj także nie jest lepiej, bo kiedy czyta się koleśkowskie opinie o filmach, koncertach, książkach czy wystawach, to czasami ma się wrażenie, że w Polsce wszystko, co wychodzi na światło dzienne jest genialne. Co ważniejsze, prawie wszyscy twórcy oczekują ciągłego wychwalania ich. Nie wiem skąd biorą się te pokłady nieskromności — czyżby to był sposób na leczenie własnych kompleksów?

Jest oczywiste, że sztuka jako taka nie musi zawsze być preintelektualizowana, żeby była dobra, chociaż w kinie jest to szczególnie widoczne. Nie zapominajmy, że kino ma być przede wszystkim rozrywką, oderwaniem od codziennych problemów. Ale jednak są granice dobrego smaku i dobrej rozrywki.

Wydaje mi się, że problemem polskich producentów filmowych jest to, że brakuje im po prostu pomysłów. Podglądając, jak kasowym hitem był „Kac Vegas” natychmiast zapragnęli zrobić żalną polską wersję. To samo było z polskimi komedijkami, reklamowanymi, jako największe hity od czasu „Samych swoich”, „Alternatywy 4” itp. Dlaczego nadal świetnie ogląda się filmy typu „Rejs”, czy ciągle krytykowane, a wysmiewane takie produkcje, jak: „Stawka większa niż życie”, „Cztery pancerni i pies” i mnóstwo innych filmów i seriali sprzed 20. 30. czy nawet 40. lat? Bo tamte filmy o czymś mówiły, miały jakieś przesłanie. A kiedy nie zawsze były zgodne z prawdą historyczną, bądź tę prawdę nawet fałszowały, były zrobione na bardzo wysokim poziomie artystycznym.

A dzisiaj? Poza kilkoma wyjątkami produkujemy filmy, na których nie chce nam się myśleć. Bez przerwy naśladujemy amerykańskie produkcje, nie mając ani funduszy, ani odpowiedniego warsztatu.

Myślę że u nas kina nie należy już rozpatrywać w kategorii sztuki tylko zwykłego produktu, który powstaje ze względu na popyt wśród widzów — bo skoro np. taki „Wyjazd integracyjny” miał dużą widownię, to idziemy za ciosem i kręcimy „Kac Wawa”. Czasami

można jednak przeszarżować i tak właśnie stało się z „Kacem...”. Inna sprawa to wychowanie widzów, gdyby „karmiono” nas troszkę ambitniejszym kinem, to nasze szare komórki mocniej by pracowały i może lepszy gust by się im wykształcił.

Zastanawiam się, po co robi się takie filmy? Na pewno nie ze względów artystycznych, tylko dla pieniędzy, bo nie minęły trzy miesiące po premierze „Wyjazdu integracyjnego”, kiedy można było kupić ten film z „Vivą” czy „Galą” (nie pamiętam) za 9 złotych! Czemu to miało służyć, bo na pewno nie promocji kultury „wysokiej”.

Sprawa recenzji Tomasza Raczka tak naprawdę nie dotyczy tylko kina. Może dojdzie do tego, że jakiś wierszokleta, niezadowolony z oceny jego „wielkości” literackiej poda mnie do sądu, bo nie spodoba mu się np. moja recenzja krytyczna dotycząca jego zbioru wierszyków. A takich dostaję miesięcznie od kilkunastu do kilkadziesiąt. Często zdarza się, że ktoś przysłał mi swoje książki, pisząc w liście, że czeka na recenzję. Nie zastanowi się tylko nad tym, czy jego książka na taką recenzję w ogóle zasługuje...

I tak mógłbym pisać bez końca, ale to i tak nic nie zmieni...

Dlaczego „sprawa Raczka” w ogóle ujrzała światło dzienne? Wydaje mi się, że w dalszym ciągu funkcjonuje w naszym kraju niewiara w słowo pisane... Po zmianach 1989 roku, po zniesieniu w Polsce cenzury, większość z nas pomyślała, że teraz to już wszystko będzie można. Jednak rzeczywistość jest inna. Bo jeśli krytykuje się twórcę za jego „dzieło”, a nie za życie prywatne i robi się w granicach prawa, to wszystko jest w porządku. Napisanie, żeby nie chodzić na jakiś film, albo nie czytać czyjejś książki nie jest niczym nagannym. Twórca musi zdawać sobie sprawę z tego, że skoro decyduje się na to, żeby być osobą publiczną, będzie poddawany publicznej krytyce. Mocne słowa Raczka to nic nowego. Już Antoni Słonimski w swoim „Flircie z Melponeną”, jeszcze przed wojną, używał bardziej dosadnych słów w stosunku do autorów bardziej uznanych, niż wspomniany producent-scenarzysta. Po cóż więc ta złość? Więcej pokory i więcej samokrytyki...

Chciałbym także wyżej wspomnianym twórcom podpowiedzieć, że jest takie powiedzenie, iż „prawdziwa cnota krytyk się nie boi”, ale do czegoś takiego trzeba po prostu dorosnąć, bo w przeciwnym razie pozostanie tylko i wyłącznie kac, a Wawa i tak będzie dalej żyć swoim życiem... Życiem celebryckim, niemającym nic wspólnego z prawdziwą sztuką...



Rys. Barbara Medajska

JÓZEF BARAN

## PRZYSTANEK MARZENIE (19)

(FRAGMENTY)



Podkładając powrosła pod pokosy żyta, znośząc snopki, układając je w dziesiątki, grabiąc ściernisko i wykonując inne galernicze dla mnie czynności – rozmyślam o niebieskich migdałach czy o losach bohaterów czytanych właśnie książek... i jak zwykle nie mogę się doczekać, żeby mama powiedziała mi: „No to idźże, synu, już do pasienia krów, bo ryczą za tobą w stajni”.

Nadchodziła pora, gdy należało je wygnąć w pole i gdy przy ich pasieniu – jak krowy trawą – mogłem się w samotności do syta napaść pośród pół książkowej fikcją; czyli zamieszkać z Johnem Silverem na wyspie skarbów, z Sherlockiem Holmesem w tajemniczym zamglonym Londynie, a z kapitanem Nemo zanurzyć się w jego podwodnym królestwie.

Precz ze snopkami, precz ze żniwami, precz z tym całym zakichanym gospodarstwem, w którym obraca się w koło Macieju pańszczyźniany kierat pracy, a my jesteśmy do niego przywiązani wraz z gniadym... precz z wyspą skaźniców na ciężkie roboty! Przeczytam parę stron i jak za dotknięciem różdżki czarodziejki przenoszę się w inne światy, przestrzenie, odskakuję na odległość paru tysięcy kilometrów, w inne wymiary...

A gdy dzień kuli się w sobie i słońce chyli się ku zachodowi, myślę tylko o jednym, żeby szybko się umyć, przebrać i popędzić do mostu, gdzie czekają na mnie już koleżkowie oblepiający jak jaskółki druty jego poręczę i gdzie znajduje się nasz przystanek z marzeniami. Tu umawiamy się na randki, sobotnie wesela, zabawy, tu rozpijamy „bełty” lub rozsiadamy się przy kunach z jasnym okocimskim w „Barze nad Uszwicą”, tu celebруем wieczorny rytuał oczekiwania na niebieski pekaes, z którego od czasu do czasu wysiada jakies powiatowe czy wojewódzkie dziewczę, inaczej niż nasze Kaśki-Maryśki się poruszające, inaczej niż one się wysławiające. W dodatku przyjezdne inaczej pachną jakimś wspanialszym, wyidealizowanym miastowym światem.

Zresztą, niektóre z nich okazują się nie takie

znów trudne, wysiadujemy z nimi do północy na nadrzecznych ławkach, u jednej pobieram pierwsze lekcje miłości; w drugiej zadurzam się na krótko lub na dłużej.

Pisaliśmy potem z sobą po wakacjach naperfumowane frazesami listy.

Pamiętam, że byłem po uszy zakochany w pewnej brzeskiej, gibkiej Halince przyjeżdżającej do swojego wiejskiego dziadka, że całowaliśmy się z życzkiem na wieczornych wałach, że przeżyaliśmy pierwsze erotyczne dreszcze i uniesienia w trawach, gdy udało mi się ją wywieść w pole, i że jej usta pachniały miodem i ciepłym mlekiem prosto ze skopka. Zresztą z czasem zrozumiałem, że niektóre z tych wakacyjnych znajomych marzyły skrycie, żeby je wywieść w pole i by udzielały nam pierwszych lekcji miłowania i miętoszenia się w trawach bądź pobierały je od nas pod wysokimi gwiazdami, choć oczywiście udawały, że im to nawet przez myśl nie przechodzi.

W końcu – mieliśmy wakacje; wszystko było przelotne, przypadkowe i bezgrzeszne jak młodość, której coś się roi, coś się zwiduje i która pragnie na ślepo zdobyć kogoś lub ulokować w kimś najczęściej przypadkowym owe kipiące w sercu i buzujące erotyczne wary i tęsknoty.

Ale ja właściwie chciałem tu o czymś innym...

Te przystanki z marzeniami, oczekiwania na kogoś, kto przyfrunie z daleka na podobieństwo anioła, świadczyły już wtedy, że byłem od początku wychylony w stronę świata, przyszłości, na zewnątrz, ba, nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś z boku określił to dosadniej mianem pierwszych objawów mojego „bowaryzmu”. Doprowadziły mnie w końcu do poezji, zasklepiającej jak propolis czarne dziury w duszy i to – o paradoksie – do poezji wsi, ale wsi już tak przefiltrowanej przez wyobraźnię i marzenie, że mi się samemu bardzo podobała. Bo moja wczesna liryka, przywołująca marzenia, wspomnienia o wyidealizowanej arkadii dzieciństwa – też zrodziły się z bowaryzmu, tylko zapatrzonego nie w przyszłość, a w zmitologizowaną przeszłość...

Pamiętam, że w młodości dominowała chęć wyrwania się z tamtego świata i że zawsze marzyło mi się to, czego dotąd nie miałem. Więc nie pociągały mnie moje rówieśniczki zdrowe jak rzepy Kaśki-Maryśki uosabiające swojski los, na który nie chciałem się zgodzić, lecz śmigłe, liryczne, miejskie panny, „zapowiadające” moje prawdziwe przeznaczenie; nie to, co czekało na wyciągnięcie ręki, lecz to, co „odległe”, co nadjeżdżało autobusem z powiatowego lub wojewódzkiego miasta, co miało – dużo już później – pojawiać się w skrzynce pocztowej ze świata pod postacią listu z dobrą wiadomością mającą „przeobrazić” moje życie, „wstrząsnąć” jego posadami.

Ów bowaryzm zaowocował w przeciagu życia różnymi imionami dziewczyn i kobiet, różnymi nazwami krajów, do których podróżowałem; różnymi postaciami interesujących ludzi, w których wydawało mi się, że znajduję rozwiązanie zagadki istnienia; tysiącami książek i setkami płyt, gdzie szukałem muzyki doskonałej, muzyki

mojego serca... i dalej szukam...

Ale ledwo czego dotknąłem, zaznałem, to po czasie zamieniało się ze złotego w szare, z nowego w stare, z odkrycia w rutynę – i już rozglądałem się za czymś nowym, czego jeszcze nie posiadałem, czego jeszcze nie odkryłem, żeby zadowolić i nakarmić w sobie tego duszka-głodomora mojej ruchliwej natury, choć uważałem też równocześnie, żeby broń Boże nie uronić wiele z doświadczeń, jakie były moim udziałem, żeby to, co nowe, dodawało się do tego co stare, choć często kłóciło się z nim.

Bowaryzm, a może tęsknota za niedoścignionym, za nieosiągalnym, co istnieje gdzieś – jak Absolut, jak Bóg, jak ostateczna miara i waga sprawiedliwości, piękna, doskonałości? Zresztą kto wie, czy właśnie nie ów bowarystyczny głodomór, popadający co jakiś czas w nudę, był załączkiem wszelkich nie tylko snobizmów, ale i religii, mistycyzmów, poszukiwań i odkryć ludzkości?

Bowaryzm, polegający na, wydawałoby się, pustym zapatrzeniu w „gdzieś indziej”, na rozmarzonej tęsknocie za nieokreślonym, pozornie lepszym; ten symptom Emmy Bovary opisany tak krytycznie przez Flauberta miał przecież w historii także swoje krzepiące uzasadnienia. Pewnie to on był najważniejszym składnikiem duszy Hannibala, Safony, Kolumba, Einsteina, Lutra, Gutenberga, Kopernika, Norwida, Szopena, Marii Curie-Skłodowskiej i Emily Dickinson, tej amerykańskiej starej panny, nieumiejącej się znaleźć w rzeczywistości, lecz tylko w poetyckiej imagacji.

Inna sprawa, że we mnie ów bowaryzm był często skonfliktowany z wiernością wobec korzeni, źródeł. Byłem jak bajkowe wędrujące drzewo, które frunie niebem, chce wciąż zaznawać nowych miejsc, nowych wrażeń, przemieszczać się jak ptak, ale korzeniami przywiązane jest stale do miejsca urodzenia. Tak było i tak pozostało do dziś. Jestem wciąż – i pewnie nie ja jeden – istotą paradoksalną, złożoną z przeciwieństw, drzewem o pniu złożonym z wielu słoików, a poezja to lek na uładzenie i ukojenie tych sprzeczności.

### Z wierszami jak ze snami

Nie należy wierzyć pozorom. Niektórzy ludzie sprawiają wrażenie nieprzyjaznych i wyniosłych. Do takich osób zaliczałem panią Elżbietę Konieczną, gdy kierowała działem kultury w krakowskim radiu. Aż pewnego razu przeczytałem w „Miesiącu w Krakowie” jej piękną recenzję o moim tomie. Potem – jako redaktorka naczelna tego miesięcznika – chętnie przyjęła patronat nad *Koncertem dla nosorożca*, a następnie dzięki jej pośrednictwu czytano tę książkę w Radiu Kraków. I tak ni stąd, ni zowąd stała się sprzymierzeńczynią mojej poezji, a ja jeszcze raz przekonałem się, że nie należy się uprzedzać do nikogo, nie poznawszy go wcześniej.

cdn.



## Egzystencjalne drzenie i rozterki poety

Tomik ten rozpoczyna się nawoływaniem do miłości i tęsknotą za budową „żywego domu”, w którym nie doskwierałaby podłoga jego mieszkańcom. Poezja idzie tu o taki dom, w którym najważniejsze jest ciepło uczuciowe pomiędzy domownikami. Mowa tu o trzecim tomiku sądeckiego autora **Janusza Jedyńaka** – „Droga w górę, droga w dół”. Wychodząc od demaskowania własnej niemocy, próbuje się przebić ku światu z otoczki „blichtru pozoru”, który go męczy i tłamsi jego życie codzienne. Schodzi więc w głąb siebie, by odkryć pewien osobisty defekt, a w wierszu bez tytułu wyjawia: „straszny cień / dotknął mojej duszy / to / nie jest tak / jakby wpadło coś / do oka / to / boleśnie uwiera / i nie da się tego wyjąć / ani wypłakać / czarny motyl / ukrył się we mnie / na zawsze”.

W następnych utworach opisuje meandry upadku egzystencjalnego w obojętnym na jego próby wyjścia z impasu świecie. Doświadczenie to z kolei wywołuje w nim obsesję niekończącego się znikania oraz towarzyszącej jej znikomości świata. Na drugim biegunie jego duszy przepełnionej nadwrażliwością rozpała się ocean ognia wydobywający się z bezprzedmiotowej miłości. Efektem jest opętanie przegradzające się w „bezsłowie”, które jak przysłowiowy trąd dotyka poety, a świat wokół niego ulega zupełnie odbóstwieniu. Jego udziałem jest również wzmocnienie doświadczenia przemijania, a w rezultacie zmęczenie niekończącym się wariabilizmem istnienia, zaś wynikiem – pokusa agresji, by łapać „wszystko za gardło”.

Jednak głęboko przeżywa wszystkie te efekty osobistego istnienia, czuje się jak przysłowiowy wybrakowany byt, uwięziony w świecie, co popycha go nawet do bluźnierstwa przeciwko Bogu, którego uważa za Wszechmogącego stwórcę, tak ciężko doświadczającego człowieka. W wierszu pt. „Robak” roztrząsa sens istnienia i pisze: „przeniósł górę / powalił las / i cofnął ocean / taki mały / że z góry prawie niewidoczny/nic nie znaczący / robak / (...) może porwać go wielki wiatr / i rzucić w nieznane / niepewność jest ziemią / na której buduje / z nietrwałości / niemożliwe...”.

W takim świecie dotykają go dwie plagi: kryzys wiary i miłości, nawet próbuje „zamknąć drzwi do siebie”, by uciec przed Wszechmogącym, popychającym „młyńskie koła / toczące rzeki łez / na okrwawione głowy nasze”. Będąc świadomym, że jest uwikłany w nierówny walce z żywiołami miotającym życiem ludzi, Jedyńak próbuje podjąć działania w celu ocalenia współistnienia z ludźmi – „bycia z innymi”. Szybko jednak odkrywa, że to, co naprawdę trzyma go przy życiu to właśnie miłość między ludźmi przybierająca różne formy przyjaźni i wyrozumiałości. Jej podstawową formą jest dla niego „miłość małżeńska”, która – niestety – najbardziej narażona jest na „próby wytrzymałości”, a jeśli się rozsypie, pociąga za sobą „pęknięcie wspólnego drzewa życia”, co z kolei skutkuje bezgraniczną obcością kochanej osoby, osamot-

nieniem i pustką, wyobcowującą poetę od siebie. Ślady walki z tym wyobcowaniem odnajdujemy w serii wierszy poświęconych tajemniczej „Em”. W jednym z nich, pełnym liryki i tęsknoty, pisze: „Masz długie włosy / od końca do końca świat / jesteś wiatrem / i pachniesz wiosną / biegnę z Tobą / chwytam / ale moje ramiona obejmują pustkę / bo Ty jesteś / moim / niespełnieniem...”.

Choć najczęściej pointą utworów Jedyńaka jest doświadczenie pustki, ukazującej nicościową podstawę bytu człowieka i świat, poeta nie traci nadziei i zmienia perspektywę oglądu świata oraz doczesności. Próbuje się wzblić ku „ptasiej perspektywie” oglądu własnego bytu w świecie, przyjął względem niej pozę ikaryjską, ale ona nie gwarantuje mu jednak odzyskania siły istnienia, a nawet momentami wzmaga jego „drzenie egzystencjalne”. Swoją wyobraźnię lokuje na skrzydłach różnych gołębi (czarnego, szarego, białego), przecinających nieboskłon nad światem, by w tym ostatnim (białym) spróbować odnaleźć ostoję dla własnego życia i egzystencjalnego „ziarna spokoju”. Zmęczony jednak i tą perspektywą oglądania świat z „lotu ptaka” zauważa, że między niebem a ziemią jest wiele „krzyku”, dla którego „brak słów”, by go opisać. Proponuje zatem pewną stoicką perspektywę pogodzenia się z żywiołami istnienia i zaprasza do nasłuchiwania jak „krople deszczu” padają „na nasze życie”. W końcowych utworach, zamykających ten tomik, dochodzi do wniosku, że „sens klucza” do życia pomiędzy niebem a ziemią dobrze oddaje metafora „klucza żurawi” na niebie, który je ku „wieczności otwiera”. Spoglądając do „kalendarza życia”, zauważa, że w nim panuje już jesień, a z opadających liści nie da się ułożyć na nowo jego sensu. Zaprasza więc do własnej „dolini istnienia”, z której oglądanie tego „niebieskiego klucza” i słuchanie klangoru żurawi pozwala pogodzić się z sensem istnienia ku nieznanemu, często przepełnionej niebytem, wieczności.

PROF. IGNACY S. FIUT

Janusz Jedyńak, „Droga w górę, droga w dół”. Redakcja: Danuta Sułkowska. Ilustracja na okładce i rysunki w tekście: Janusz Jedyńak. Wydawca: Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana Odziału w Nowym Sączu, Nowy Sącz 2011, s. 64.

## Dramaturgia cichości

We współczesnej refleksji literaturoznawczej zapisane są kongenialne rozważania Milana Kundery nad pojęciem „litości” (litości). Musiałem przywołać ów termin w zapisie czeskim, ponieważ w żadnym innym języku nie ma on adekwatnych konotacji, dotyczy to także tak bliskiej przeciwieństwu językowi czeskiemu polszczyźnie. I oto spotykam zjawisko pokrewne. Spotykam w sytuacjach tak dramatycznych, choć literackich, że wydawało mi się jakimś nadużyciem, gafą, brakiem wrażliwości analizowania i dalsze refleksowanie słowa, o którym za chwilę powiem. Jest to pojęcie „cichości”, obłaskawione językowo oraz literacko przez najnowszy tom

poetki **Magdaleny Domańskiej**. Dwie hipostazy odnoszące się do stanów psychicznych doznań oraz uczuć w języku polskim zyskują szczególną wartość: to „cichość” właśnie oraz „żałość”. Słowa takie jak miłość, radość, złość, nienawiść należą także do grupy hipostaz, które wywołał przed chwilą. Nie mają one wszakże owego szczególnego nacechowania, jakie wytwarza synonimiczny paradygmat: cichość – cisza oraz żałość – żal. Owa synonimiczna nominalna równoważność powoduje, że cichość pojmujemy jako stan najwyższy ciszy, podobnie jak żałość jest kwintesencją żalu. Musimy także pamiętać, że oba te pojęcia należą do utrwalonych w kompetencji kulturowej bądź to cnót ewangelicznych („cichość serca”) bądź żalników, w których żałość się znalazła jako najdosłowniejsze słowo, którym opłakiwano mękę Pańską. Piszę o tym nie dla prezentowania jakichś zachcianek lingwistycznych, ale wierząc, że (jak mówi filozof) słowo jest domem poety. Ów dom słowa jest najwłaściwszym, przyjaznym schronieniem, „zakorzeniem” w chwilach, kiedy ogarnia nas „pasja nocy”. Kiedy znaleźliśmy się w sytuacji doświadczanego Hioba lub – jak to określała Simone Weil – przechodzimy naszą prywatną drogę krzyża, jesteśmy jak robak podeptany przez wszystkich i paradoksalnie opuszczony przez Boga ukrytego (*Deus absconditus*).

Towarzyszę poezji Magdaleny Domańskiej od jej debiutanckiego tomu. Pisałem o jej wierszach może nie zawsze mądrze, ale z autentycznym zaangażowaniem, empatią, próbą zrozumienia, jak cierpienie, które jest nieodłącznym towarzyszem jej życia, może zyskiwać tak zdystansowaną, klarowną poetycką ekspresję. Wydawać by się mogło, że sytuacja troski i bólu powinna rodzić poetykę buntu, niezgody z pogranicza blasfemii. A jednak jest inaczej. Dzielność i kobieca mądrość sprawiły, że te wszystkie wiersze prezentują – nie waham się tego określenia użyć – poetykę „elegancji cierpienia”. Ostatni tom wszakże wyrasta z doświadczeń, które znany filozof K. Jaspers nazywa „ekstremalnymi”. Jest to rzeczywiście sytuacja Hioba, bez przemądrzałych pocieszycieli, z poczuciem buntu i niesprawiedliwości i pytaniem do Boga kierowanym: „dlaczego ja”? To najdramatyczniejsze pytanie, jakie może zadać nasza ludzka mała Przygodność. Mogę się tylko domyślać – bowiem znajdujemy się wszyscy w polu „ludzkiej doświadczeń” – że najpierw był szok, bunt, płacz, poczucie beznadziei. Potem jednak przychodzi refleksja, że by zachować nie tylko najistotniejsze elementy naszej osobowości spójności, zaś potem – co istotniejsze – pamięć o Utraconym. Owa pamięć może wyrastać nie z neoplatonickiej Sige (Milczenia), ale z ludzkiej bolesnej „cichości”. Tak też się to staje. Ta cichość się zadomawia, jest pocieszeniem, towarzyszy przy oswojaniu rzeczywistości, staje się – jak poetka pisze – „codzienną ciszą ratunkową”. Ból pozostaje, ale jest nasz, „nie do sprzedania”, staje się wartością. Można nawet uśmiechnąć się boleśnie nad tym naszym bólem: „Cierpię sobie pomalutku, cierpię z przemocznym sercem” jak się w jednym z wierszy mówi... Przejmująca, mądra, niezwykła to poezja.

(Dokończenie na stronie 18)

## Dramaturgia cichości

(Dokończenie ze strony 17)

I nie są potrzebne żadne komentarze. Krytyk literacki jest zawsze natrętem, nieproszonym gościem. To Czytelnicy będą ową poezję legitymizować, określać jej wartości i przyjmą do swoich domów. Może nawet do swojej „cichości”.

Chciałbym jednak – rezygnując z dalszych niepotrzebnych analiz – raz jeszcze przywołać wiersz zamykający tę bolesną a przecież mądrą Przygodność ludzką:

### Dopilnuję

muszę ci stworzyć  
od nowa  
wykreślić strach  
dać ci nieśmiertelność  
a ty dopilnuj  
by na czymś mi  
zależało

HENRYK PUSTKOWSKI

Magdalena Matraszek-Domańska, „Cichość”. Wydawca: Towarzystwo Twórców Trzeciego Wieku, Ciechanów 2012.

## „Fluid rozpuśczonego nieba”...

W poezji Agaty Szczodrak wyczuwa się swoistą metafizyczność, będącą efektem procesu szlifowania... duszy. Rzeźbiarzem takiego jej kształtu są uczucia. Ich subtelność zdaje się mówić: „piszę metaforą, która pozwala ukazać, czasami ledwo wyczuwalne odcienie życia, czy dostrzec kroplę deszczu wiszącą na liściu i mieniającą się barwami tęczy w słońcu”. Poetyckie słowo pozwala namalować świat takimi właśnie barwami życia: *pozволь mi namalować / jasne twarze / w których rozpoznam / cienie goniącego strachu / walczącego o śmierć / na chwilę (...)* / *malować za czymś krzykiem / jaskrawym cierpieniem / płoszonym w atramentach echa (...)* – pisze Poetka.

Subtelność uczuć nie chroni przed cierniami, nie jest barierą ochronną wrażliwego wnętrza. Wręcz przeciwnie. Nie ma jednak wyjścia, nie da się obejść zawirowań: *rzucam się w wir* – sygnalizuje Agata Szczodrak. *Wir*, który tworzy szkice z moich myśli. Metafora pozwala „namalować świat” z bólem i cierpieniem, które towarzyszą nam, nawet niechciane. Wkradają się w cały mechanizm szlifujący subtelność wyciszającą: (...)*ten spokój / który kielkuje we mnie (...)*. Cisza jest krewną refleksji; refleksja – nadziei. Nadzieja natomiast – odwołuje się do cierpliwości w duchu wyczuwalnej nadziei. Sieć powiązań realizuje się w *zapachu jutra*. Poetka pisze o *jutrze* z odrobiną, wbrew pozorom, nadziei – mimo że dzisiejszy dzień okazał się być *zakurzony*. Nie na darmo ten *kurz* mógł się pojawić.

Dopiero w konfrontacji z krystalicznie czystym powietrzem potrafimy porównać, docenić, przyjąć: (...) *w strefie gęstych przywyczajeń / ratujemy się zapachem jutra / zakurzoną chwilą (...)*. Myślenie o jutrze generuje różne kalendaria wydarzeń. Jeżeli dzisiejszy dzień był *zakurzony*, a „ja” *podobno / mam być jutro / taka jak co dzień* – to jutro może być też *zakurzone*. Może, ale nie musi. Nie wiemy, jakie będzie „jutro”. Czy te słowa mogą nawiązywać do nadziei? Przewrotne pytanie. *Jutro* to przyszłość, *podobno* to także przyszłość, na którą patrzymy z różnych stron; *podobno* wskazuje na fakt, że jednak może być inaczej, niż *podobno* miało być.

*Obudź mnie* – pisze Poetka. Czy chcemy tak do końca się „obudzić”? Nie zawsze. Marzenia są częstką nadziei i zatrzymują w nas ciepłe myśli i oddech od rzeczywistości, są jak: *ucieczka za tym / co nie odpowiada / błąka się jak strach / omija znaki zapytania (...)*. Dlaczego? *bo co mi pozostało / tylko wyjść / z deszczem / kto szybciej uśpi / płaczące się łzy*. Ucieka się przed czymś, a za czymś się goni. Uciekamy przed kimś, ale za kimś tęsknimy. Czy chcemy i czy można tak do końca uciec? I, *czy wyjść z deszczem* jest z góry przez nas przegrany? Agata Szczodrak ujęła to ciekawie: *ucieczka za tym / co nie odpowiada / błąka się jak strach / omija znaki zapytania*. A znaki zapytania same się proszą tu o postawienie...

Wspomnienia co i rusz odbijają się echem: *pozwole sobie / dzisiaj na żal / przez okno zaczęło / mnie coś dławić (...)*. Życie jest jak papier, na którym pióro naszego życia zapisuje atramentem: jedne wspomnienia wyraźnie, inne – z nieostrością upuszczoną kroplą wody – zamazane. Jeżeli jednak niechcący wyleje się cały atrament?: (...)*rozbiłam dziś / słoiczek atramentu / spadł / leżałam na deskach / i wchłaniałam opuszką / ten cudowny granat (...)* – wówczas nie zostanie wykorzystany zgodnie ze swoim przeznaczeniem i nic na to nie można poradzić. Ale! Co stoi na przeszkodzie, by móc zachwycić się jego kolorem...

Słowo *koniec* można wypowiedzieć z ulgą, żalem lub lękiem: *boję się / o nieskończoność / słowa koniec / uspokaja mnie to / co brzmi krócej / i o czym / nie potrafię pamiętać (...)*. A kiedy można powiedzieć „nie”? *nie mów: nie / kiedy wierzysz / w koniec światów / i dwa zwrotniki / pomiędzy oczekiwaniem na list (...)*. (...) *nigdy nie mów nigdy! Koniec* zażębia się z *początkiem* – rzeczywistością. Przeszłość się wspomina, o przyszłości można się martwić; o przyszłości można też marzyć – a rzeczywistość jest: *uprawiam teraźniejszość* pisze Agata Szczodrak.

Miłość i pokora – to kolejne motywy poezji Agaty Szczodrak. Prawdziwa miłość wymaga pokory i cierpliwości: (...)*księżyc mnie nosi / księżyc mnie złoci / zdżermnął się w uściskach biegunów / zastępnym jak nieposłuszne kończy / wokół cicho i mokro / pachnie tylko bezczelna pokora / unoszona wątpliwościami / czy kochać jest zbrodnią (...)*. Bunt wobec pokory jest naturalną reakcją. Jeżeli uda się go pokonać – można odkryć piękno pokory, która nie osłabia miłości; która implikuje dar serca i sprawia, że: *podnoszę pulsujące / suche kiście – i przynoszę Ci, abys nie był sam / abym mogła / sycić się Twoim oddechem / i być w każdej jego / szczypcie*.

Uczucie miłości może przynieść gorycz roz-

stania, zapach i lży jesieni: (...)*zobaczysz / jakie łagodne rysy / ma strach / kiedy kończy się sierpień (...)* *zobaczysz / jak pachnie jesień / gdy moje usta / zmieniają kolor / i smak (...)*. Pojawia się ponownie lęk, który *haftuje* z *nici* i *niteczek bolesną myśl*, *draży*, niszczy, zabija radość życia, odwagę zmian. Zamyka w świecie, z którego trudno wyjść. Lęk, z którym trudno walczyć. Można spróbować go oswoić, nazywając „po imieniu”: (...)*tak się boję / że on też / zacznie mnie chłostać / rozgniatą szufladami / haftować z nici / nitek i niteczek / bolesną myśl / aż się znów zachwieje (...)*.

Wiersze są jak listy z przemyśleniami, prośbami, nadzieją i smutkami. Trochę w opozycji do e-maili: najczęściej szybko napisanych, za moment przeczytanych i jeszcze szybciej zapomnianych. Myśli ujęte w metafory są jedynym w swoim rodzaju poszukiwaniem drogi życia, czasem z odrobiną skargi w głosie, a czasem... z odrobiną nadziei; weryfikacją sumienia i oceną teraźniejszości. Jaki byłby świat bez takich właśnie listów: *świat to za mało / więc napiszę kolejny / list do Nieba (...)*. O czym? Choćby o marcowych porankach: *marzec / budzi mnie inaczej / tak widniej / krócej dzwoni / inną wonią / niewypowiedzianie*. Marzec to wiosna i zieleń ze swoją piękną, soczystą barwą i zapachem nadziei.

DOROTA SZUMILAS

Agata Szczodrak, „Fluid rozpuśczonego nieba”. Wydawca: Miejska Biblioteka Publiczna, Biała Podlaska 2010.

## „Czemu mi ją zabrałeś, Boże...”

Konrada Małka znanymi jako autora kilku ekologicznych bajek dla dzieci, które ukazały się wsparte udanymi rysunkami córki Anny.

Był ekonomistą z zawodu, choć od 13 roku życia interesował się literaturą. Uczestniczył w spotkaniach Klubu Literackiego „Barwy” w Rudzie Śląskiej. Jego wiersze publikował m.in. „Gość Niedzielny”. Urodzony w 1954 roku pisarz zmarł niespodziewanie 30 października 2011 roku, ale wcześniej zdążył wydać tom wierszy pt. „Nie martwcie się” poświęcony całkowicie pamięci... żony Grażyny, która „po krótkim pobycie w szpitalu i klinice [...] zmarła na ostrą białaczkę limfoblastyczną w swoje 53. urodziny, 13. lutego 2010 roku”. Ale nie tylko ta podwójna tragedia każe mi przypomnieć tego poetę. Tom „Nie martwcie się” jest po prostu bardzo dobrym zbiorem wierszy, co piszę, absolutnie nie kierując się okolicznościami, które go zrodziły.

Poeta wiedział, że jego ukochana żona umiera i nie mógł się z tym pogodzić. Poczieszenia szukał przede wszystkim w słowie pisanym. Prawie codziennie w specjalnym zeszytce zapisywał myśli, z których zrodził się jego ostatni opublikowany zbiór wierszy. Zatem to właściwie rodzaj pamiętnika, który świadczył o silnym stanie emocji autora, co dzień owocującej poetyckimi impresjami. Dokładniej, jakby dziennik duszy, do którego poeta nieustannie uciekał.

Po jego lekturze, po częstotliwości zapisków, widać że o niczym innym nie potrafił myśleć, że poza żoną, i to wcale nie wyidealizowaną, nic innego go nie interesowało. Ona stała się głównym odniesieniem, jakby zworknikiem jego przeszłości i teraźniejszości; powierzał jej dalej swoje tajemnice, swoje żale i lęki, swoje życiowe plany. Nie mógł uwierzyć, że najbliższej mu istoty, której oddał kilkadziesiąt lat życia, nie ma obok niego. W dalszym ciągu zwracał się do niej jak do żywej osoby, stale mieszał w swojej liryce sceny realistyczne ze snem, z marzeniami.

Właśnie sen jest często przywoływany w tych wierszach, co zresztą wydaje się naturalne. Pewnie przynosił nieco ulgi poecie, pozwalał na spotkanie z ukochaną poza jawą.

Przykłady:

*śniło mi się,  
że byliśmy na jakiejś wsi [...]*

*Może kiedyś się obudzę  
i Ty znów będziesz  
przy mnie [...]*

*Jeszcze mi został  
sen,  
tam Cię mogę spotkać,  
pełen nadziei  
zасыpiam [...]*

Tom wierszy „Nie martwcie się” otrzymałem od autora na początku 2011 roku. Przeczytałem go kilka razy silnie poruszony historią życia i śmierci żony poety, jak i liryką, w której ukazał całą złożoność ludzkiego bólu, na dodatek w sposób niezwykle czysty i ekspresyjny. Nie ma w tym tomie ani jednego fałszywego tonu. Jest autentyzm i docieranie do prawdy bez barier, nawet tych najtymniejszych. Tego typu liryka jest u nas znana od wieków. Niedostępnym wzorem są na pewno „Treny” Jana Kochanowskiego. Jednak i po nim wielu twórców niezwykle delikatny i trudny temat miłości i śmierci potrafiło ująć w nowej i i absorbującej formie. Ze współczesnych np. Anna Kamieńska, Halina Poświatowska czy Dorota Chróścielewska.

Poetę zabił ból, zabiło cierpienie po stracie żony, którą uwielbiał, na co dość dowodów w książce. Czy można wyobrazić sobie większą ofiarę miłości. Czy powinienem milczeć? Chyba nie. I stąd to moje nieudolne przypomnienie poety.

*Czemu mi ją zabrałaś Boże,  
czemu,  
gdy tylu ludzi,  
starych niedołężnych,  
chodzi po ulicach.*

To chyba nie jest tylko retoryka. Poeta to ktoś kto szuka prawdy. I to za wszelką ceną. „Powiedz prawdę, do tego służysz”. To chyba napisał Zagajewski. Nie wiem czy Konrad Małek znał jego twórczość, niewątpliwie jednak ten aksonomat mógłby ich połączyć.

W wielu wierszach Małka wprost uderza aforystyczna zwięzłość i prostota:

*Myszę,  
że mi nikt  
niczego nie zazdrości,  
umarłaś,  
zabrałaś wszystko  
– co miało sens.*

Małek każdym słowem, jak kluczem, otwiera przed nami nowe obszary liryki, tego dziwnego stopu, o którego powstawaniu ciągle tak niewiele wiemy. Pisanie to przecież zawsze zaskoczenie, zdziwienie, i strach, że już nie powróci, że nigdy więcej niczego nie napiszemy. W wypadku autora „Nie martwcie się” dylematy owe jakby nie istniały. To nie jest dla niego ważne co będzie robił w przyszłości. Interesuje go tylko przeszłość i teraźniejszość. A przeszłość, jak życie, utkana jest z obrazów radosnych i smutnych, szczęśliwych i tragicznych. Z kolei teraźniejszość to jedynie bolesne rozpamiętywanie tego co było, nieudane próby egzystencji na nowo, próby reanimacji wspólnego życia za wszelką cenę, nawet za taką:

*Chciałbym z Tobą  
chodzić po śmietnikach  
spać na ławce parku latem  
a zimą w przytulku.*

Świat, w którym żyje poeta, zaludniają sąsiedzi, bliżsi i dalsi krewni, córki, koledzy z pracy, a jednak:

*Samotność  
przyciska do ściany,  
zawiesza ołowiane kule  
u nóg,  
toczy obrozę  
po kamienistej drodze,  
i zaciska pasa  
u szyi.*

Nieustający dialog, jaki toczy poeta z umarłą żoną nie jest jednostronny. Ona także zabiera głos, jak w tym liryku bez tytułu:

*Może umarłam  
byś pisał,  
ty poeto przebrzydły,  
wyrzucał, jak wulkan  
ławę  
i z popiołem wlatywał,  
z popiołem opadał,  
jak najbliższej mnie.*

„Jak długo udreńczony mój mózg dręczący będą umarli?” – pytał retorycznie Jan Śpiewak. Tego pytania nie zadawał sobie Konrad Małek. Nie ma też fascynacji śmiercią w jego utworach. Jest przede wszystkim wielkie przeogromne zdziwienie pokrętnymi ludzkimi losami i wyrokami boskimi. Poeta udowodnia nam także, że w każdej niby zwyczajnej chwili przeżytej z żoną umiał znaleźć niezwykłość, jak w tym fragmencie:

*Tańczyliśmy w Lachowicach  
rankiem,  
tak od niechcenia,  
Saba szczełała,  
chciała nas rozdzielić,  
było to bardzo dziwne.*

Dużo należałoby napisać o precyzji stylu poety, jego lapidarności, prostocie, powtarzających się toposach i motywach, dyskretnie użytych środkach poetyckich, wreszcie o uniwersalnym przesłaniu tej liryki. Warto też podkreślić, że drogę na skalę Kaliopy, którą młodzi pokonują żmudnie, często gromadnie, Konrad Małek pokonał jednym skokiem i to samotnie. Tych wierszy nie będzie można zapomnieć. Z pewnością patronują im najwięksi w literaturze: Abelard i Heloiza, Romeo i Julia. Patronuje także

Laura – ukochana Petrarki.

STANISŁAW GRABOWSKI

Konrad Małek, „Nie martwcie się”. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Anna Małek. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2011.

## Jej Wysokość w mieście Krakowie

„Wiersze rodzą się jak gwiazdy i jak róże”.

Cwietajewa

Jej Wysokość Poezja w mieście Krakowie. Jej przedstawiciel **Vladimir Stockman**, poeta i tłumacz, urodził się w 1960 roku w Rostowie nad Donem (Rosja). Od 1992 roku mieszka w Krakowie i pisze wiersze po polsku i po rosyjsku (tłumaczy poezję i prozę). W 2000 roku w Wydawnictwie SIGNO (Kraków) ukazały się wiersze wybrane „Górne morze”.

O poezji Vladimira Stockmana powiedzieć można, że ta poezja nie zaleca się lekturze cichej i kameralnej – ona wkracza w rewiry światopoglądowej spekulacji. Można wspomnieć „cudowne dziecko” rosyjskiej poezji – naturę skomplikowaną i niezależną, pełną sprzeczności i napięć Marinę Cwietajewą, która powiedziała, że „poezja osadzona mocno w wielorakich tradycjach „rosyjskości” a zarazem uniwersalnej i bliskiej ludziom każdej epoki”. Można przypomnieć wyznanie Williama Blake’a, że poezja „tworzy obraz kosmosu antropocentrycznego (...) odrzucający wizję czasu jako nieskończonego – następstwa chwil, które giną bezpowrotnie”.

Liryka u Stockmana staje się projekcją życia widzianego przez pryzmat płci, ale rytm świata bywa utożsamiany z rytmem przemian biologicznych, które zachodzą w człowieku:

*Ja wypełnię tobą  
pustkę mego mieszkania,  
włącząc światło conocone –  
księżyc niech w niebie zabrzmi!  
Nawet czas nas oszczędzi –*

(„Nasze bezbarwne cienie”)

Przyznaję, że liryka poety jest nieustannym usiłowaniem określenia wobec innych własnej tożsamości i autentyczności. Zapytajmy więc: czym jest ten czas w człowieku? Poeci na ogół nie trawia świata, w którym wszystko dzieje się na niby – wszystko jest mnożeniem pozorów, czy też masek i konwencji. A jeśli tak, to czas-poety ten ludzki wewnętrzny powinien być czasem symbolicznym i spokrewniać się z naturą. Jeżeli chodzi o Jej Wysokość w mieście *Dnia Poezję* – skłonny jestem w to uwierzyć, że ma jeszcze bardzo wiele do powiedzenia.

Skądinąd wiadomo, że poeci są niczym drzewa w lesie. Korzeniami tkwią w tej samej glebie – korony wznoszą w tej samej atmosferze, pod tym samym niebem, a jednocześnie każdy z u nich. rozwija się inaczej zajmując przy tym

(Dokończenie na stronie 20)

## Jej Wysokość w mieście Krakowie

(Dokończenie ze strony 19)

inną przestrzeń – istota ich wyraża się właśnie przez ich odrębność. Poczucie odrębności, jeśli powstaje, nie jest w żadnym przypadku fikcją, ale swego rodzaju szansą wzbogacenia ogólnego dorobku – o nowe punkty widzenia świata. Jest to dla krytyka literackiego, jak również dla czytelnika (spospozorowanie) interesujące – a nawet pasjonujące.

W poezji Stockmana przede wszystkim góruje instynkt życia. Człowiek analizujący kwestię ludzkiej egzystencji – to człowiek oczekujący, pamiętający, który również nie pozostaje obojętny wobec spraw czysto ludzkiej wyjątkowości:

*Nie boję się patrzeć w szarą próżnię  
ich gwałtownego życia,  
w ciemność przestrzeni dyskotek  
i w milczenie cel szpitalnych*

(„Millenium”)

Poeta o takich zainteresowaniach jest głęboko przejęty materialnością świata, w którym żyje i tworzy. Musi kochać ten świat, nawet jeśli nie jest w nim łatwo żyć. Piszze świadectwo czasu. Ten rodzaj świadomości pozwala mu na uczestnictwo w bieżących „przetargach”. Moralność pisarska polega na pisaniu prawdy o faktach niepodważalnych, bo w końcu tyle tylko wiemy o tym świecie, kiedy różne siły usiłują nam zasugerować ten czy inny, pragmatycznie nacechowany obraz świata:

*to wszystko widzieć, odczuć, zapamiętać  
przekształcić i odtworzyć ruchem, dźwiękiem  
i linią na czystości kartki,  
płótna lub przestrzeni sceny –*

(„Pytanie”)

Wiersze rodzą się jak gwiazdy i jak róże „mających swym przeznaczeniem się złączyć” (szkoda, że wybór wierszy składa się jedynie z jedenastu) ale nie zmienia to faktu, że autor nie był w stanie powiedzieć w nich najważniejszych...

Wiersz tytułowy odczytałem jako najszerzy – zaproponowany przez dzisiejszą poezją program poezjowania. Poeta usiłuje ogarnąć wyrażeniem, technieniem poezji ograniczoną przez „biologię, historię i ludzką psychikę tzw. skalę przeżywania”. Tam, gdzie nieustanna rzeka rzeczywistości płynie „dziewięć się pomiędzy nami, między tobą i mną, między tobą i tobą, między mną i mną”. Chyba można z takich „kształtów przeżyć” zrekonstruować coś na miarę światopoglądu:

*Górne morze  
kołysze się nad  
lądem ziemskim  
i lądem niebiańskim  
(...)  
nie zrozumiesz gdy nie pomyślisz o falach  
górnego morza dziwnego jak  
niezrozumiałość ukrytych przed świadomością  
tajnych domysłów ducha.*

(„Górne morze”)

Zdolność uchwycenia pierwszych sygnałów – nowego doświadczenia świata (mam na myśli

wrażliwość) to właściwie wszystko, co w przeżyciu artystycznym może nam dzisiaj poeta zaofiarować. „Klęską poezji (Jerzyna) jest jej bezdusność. (...) I może rzecz najważniejsza! kiedy człowiek pisze o człowieku, dla człowieka. Czego (z małymi wyjątkami) nie można powiedzieć o najnowszej poezji polskiej”. Odwołuję się do szerokiego kręgu spraw i problemów, z jakimi borykają się wstępujący w życie „poetyckie” młodzie...

„Ludzie młodzi, (napisał Erenburg) jeśli nie są poetami ani specjalnymi miłośnikami poezji, kiedy jest im wesoło, dobrze, rzadko biorą z półki tomik wierszy; idą raczej na mecz piłki nożnej, tańczą, spacerują z dziewczętami, marzą na głos albo prowadzą gorące dyskusje. Wiersze potrzebne są im w godzinach smutku i wtedy z pomocą przychodzi Jesienin, który dawno umarł i o którym nie wiadzą nic, prócz rzeczy najważniejszych: pisał cudowne wiersze.”

Tamte lata wyłoniły sporo ciekawych i silnych indywidualności pisarskich, z których każda poszła własną drogą. Dożyliśmy XXI wieku – w mieście Krakowie żyje i pisze swoje wiersze (po polsku i po rosyjsku). Dystans do siebie i świata nie może go pozbawić ludzkiego ciepła i bezpośredniej bliskości. Nazywa się Vladimir Stockman (może i jest solą w oku swoich rówieśników i nie tylko) ku mojemu radosnemu zdumieniu. Ale czy tak naprawdę świat znaczy więcej – niżli znaczą słowa...

ANDRZEJ GNAROWSKI

Vladimir Stockman, „Górne morze”. Wydawca: SIGNO, Kraków 2007.

## Prawda o momentach bycia...

Jednym z najbardziej naturalnych sposobów na wyrażanie marzeń i lęków jest literatura. To nie przypadek, że dojrzwowanie obfituje w pierwsze próby literackie, obrazy, spektakle. Kiedy jednak dojrzejemy, nie zawsze potrafimy obudzić drzemiące w nas inwencje twórcze. Jeśli i to się uda, nie znaczy, że będziemy mieli coś ważnego do powiedzenia. Bo literatura, to coś znacznie więcej, niż tylko ciągłe powtarzanie tych samych sloganów, poszczególnych obrazów i metafor ludzkiego życia. Literatura, to rytualne przedstawienia, ożywiane przestrzenią, wpisane w opozycję jasności mroku.

Ludzie zawsze mieli potrzebę pisania. Pisali listy, pamiętniki, dzienniki, wiersze. Wyrażało się w tym pragnienie kontaktu z drugim człowiekiem. Poza tym pisząc, człowiek dojrzewa, kształci swoją wrażliwość, bo pisanie jest poznawaniem siebie. Są rzeczy, których nie umiemy wypowiedzieć wprost, łatwiej nam wyrazić je na piśmie, bo wtedy mamy dystans. Poeci chętnie przelewają swoje myśli na papier. Piszą, gdyż niepokojna wyobraźnia nie pozwala im spać. Przecież każdemu to wolno, każdy może. Ale u niektórych poetów coraz rzadziej spotykamy wiersze, które przesywałyby nas dreszczem,

powodowałyby gęsią skórkę. Coraz mniej tomików zasługuje na miano prawdziwej poezji. Zdarzają się jednak rzeczy wartościowe, gdzie występują zjawiska jasno świecące.

Tak jest w przypadku wierszy **Danuty Muchy**, zamieszczonych w książce pt. *Spowiedź myśli*. Poetka pisze, jakby trochę na przekór modom i trendom. Dziwne to, gdyż współczesny poeta za wszelką cenę próbuje zabylnąć czymś „udziwnionym”. Wiersze Danuty Muchy są inne. One usiłują głosić nadzieję. Mówią prawdę o metafizycznych przeżyciach, nie zamykają oczu na zło. A jednocześnie są radosną nowiną, bo głoszą, że cierpienie nie zawsze jest nieszczęściem, często jest dojrzewaniem do mądrości, próbą wierności:

*nieboskon tak nisko  
nie widać go wcale  
z okien śniegu poszycie  
w dali pałac biały  
tylko oczy przymrużęć  
na okiennej zasłonie  
a świt drzwi zamyka  
zapala pochodnię  
nie jest okiem słowo  
ani myśl nim nie jest  
jeśli w sobie nie znajdziesz  
siły woli i siebie*

Dobre wiersze muszą być poszukiwaniem tajemnicy, a więc muszą dotykać tematu Boga (choćby nie wprost), ludzkiego życia, śmierci. Jak modlitwa. Najważniejsza w wierszu jest prostota i zwięzłość. Im mniej słów, tym lepiej. Do zwięzłości jednak niełatwo się dochodzi. Należy jej się stale pilnie uczyć:

*gdy na palcach jednej dłoni  
pięć słów niepewnych czeka  
na koncert finałowy  
na klawiaturze nieba  
i o słowie i o ciszy  
jakby na krawędzi mroku  
światło bije i zaprasza  
w stajeneczki progu  
aniołowie chórem grają  
nikt nie poznał  
Ciebie Boże  
a to Światło sięga raję (...)*

Tę poezję trudno zdefiniować, ale czy tak naprawdę o to chodzi? Czy to w wierszach piotrkowianki jest najważniejsze? W jej poezji obok rzeczywistości pełnej „gwałtu i przemocy” istnieje świat, w którym ludzie żałują za grzechy, odczuwają skruchę i wstyd, składają przyrzeczenia poprawy, gdzie tęsknią za dobrem, miłością. A jednocześnie bardzo się męczą, ciężko walczą o byt. Cieszą się nadchodzącą chwilą największej nadziei. Tą nadzieją jest miłość.

Miłość u Danuty Muchy, to nie tylko uczucie, zakochanie się. To jest ciężka i wspaniała praca, nieustanna walka z egoizmem. Wszyscy tęsknimy za prawdziwą miłością. W miłości nawet wzajemnej doświadczamy samotności, gdyż człowiek człowiekowi nie wystarcza, pragnie owego pogodnego spojrzenia na świat z jego złem i zagrożeniami. A jak wiadomo mamy różne rodzaje miłości. Musimy tylko chcieć odkryć tę właściwą:

*zamdlone okna ciszy  
zapatrzone w niebie  
a ja ciągle zamykam*

(Dokończenie na stronie 24)

## Filozofia codzienności (67)



**Zastanawiam się, kiedy wreszcie zabijanie ludzi na wojnach zacznie być powszechnie oceniane nie jako wyraz męstwa i bohaterstwa lecz nagannej słabości.**

Natarczywa reklama lekarstw w telewizji stanowi zagrożenie dla tych, którzy nie są w stanie jej się oprzeć, są słabi. Nie każdy ma zmysł krytyczny oraz dystans do tego, co jest powszechnie zalecane.

Z oddziaływaniem lekarstw na zdrowie człowieka wiąże się książka japońskiego uczonego Teruo Higi „Rewolucja w ochronie naszej planety”. Miałam okazję poznać osobiście profesora i obejrzeć film ilustrujący praktyczne skutki zastosowania jego teorii. Uczony ten odkrył efektywne mikroorganizmy EM. Profesor Higa oparł się na założeniach analogicznych do tych, które leżą u podstaw teorii Juliana Aleksandrowicza czyli na jedności wszechrzeczy. Owe efektywne mikroorganizmy odkryte przez japońskiego uczonego rozwiązują problem niedoboru żywności w sposób odległy od stosowanych w świecie Zachodu metod, prowadzących do żywności genetycznie modyfikowanej. Problem ten wiąże się ściśle z profilaktyką. Metoda T. Higi rozwiązuje także problem braków żywności oraz ochrony środowiska naturalnego w sposób odmienny niż czyni się to na naszym kontynencie i w obu Amerykach. Technologie EM stosują niektóre instytucje w Japonii, a także wybrane kraje Wschodu, w tym na przykład Egipt. Istotne znaczenie ma to, że dzięki EM można osiągać zwiokrotnione plony bez stosowania pestycydów, środków chemicznych, czy nawozów sztucznych. Proponowana metoda jest naturalna. Autor nie ma wątpliwości, że EM zapoczątkuje nowy kierunek w historii ludzkości. Koegzystencja, dobrobyt i szczęście – w miejsce konfrontacji, konkurencji i wojen – wpłynęłyby korzystnie na psychikę człowieka, chroniąc tym samym przed chorobami. Siły obronne organizmu wymagają ochrony. Byłaby to droga bardziej skuteczna niż proponowane przez reklamy branie lekarstw na każdą dolegliwość z psychosomatycznymi włącznie.

Profesor Higa jest przewodniczącym Stowarzyszenia Rolnictwa Naturalnego Azji i Pacyfiku oraz Międzynarodowego Ośrodka Badawczego Rolnictwa Naturalnego, doradcą Towarzystwa na rzecz Oczyszczania Zasobów Wodnych w Japonii oraz Japońskiego Towarzystwa Laseroterapii. Przyświeca mu dążenie do świata wolnego od chorób, biedy i wojen. Ma się do tego przyczynić produkcja EM. Wymaga to między

innymi zmiany sposobu myślenia rolników oraz zahamowania produkcji środków chemicznych dla rolnictwa. Naturalna zdolność EM do produkcji antyutleniaczy wzmacnia siły organizmu człowieka. W razie choroby przyczynia się do regeneracji organizmu. Fragmenty tej książki poświęcone są relacji lekarzy rezygnujących z typowych leków antyrakowych, ponieważ dostrzegli alternatywę w EM.

Postęp w medycynie, zdaniem japońskiego uczonego, powinien wyrażać się malejącą liczbą pacjentów. Firmy farmaceutyczne mają cel przeciwny. W ich interesie leży, by jak największej osób kupowało produkowane lekarstwa. Jest oczywiste, że choroby bywają często spowodowane spożywaniem produktów zatrutych chemią oraz zanieczyszczaniem środowiska. Natomiast stosowanie EM w formie nawozu przyczynia się do zagwarantowania człowiekowi pełnowartościowej żywności. EM rozwiązuje także zanieczyszczenie środowiska poprzez utylizację odpadów w naturalny sposób.

„Także dla Japonii – czytamy w książce T. Higi – nadszedł czas na przeprowadzenie radykalnych zmian, a zwłaszcza na zrewidowanie mechanizmów, prowadzących do trwonienia astronomicznych sum na lekarstwa. Przyszedł czas na uznanie innych, alternatywnych metod leczenia. Nie mam tu na myśli tylko metod wspierających antyutlenianie, lecz także techniki posługujące się biomagnetycznym rezonansem w jego różnych formach, jak również metody mające na celu uzdrowienie zarówno ducha, jak i ciała. Odejście systemu ochrony zdrowia Japonii od nadmierne go zużycia lekarstw jest konieczne, ponieważ dotychczasowy kosztuje państwo zbyt wiele, a pacjentów zmienia w „chodzące apteki”. Tak właśnie, niestety, dzieje się również w Polsce.

### Pacyfizm

Nieaprobowany wciąż przez wielkie liczebnie religie chrześcijańskie pacyfizm nie powinien być odrzucany z tego powodu, że jest rzekomo ideą utopijną. Pacyfiści żądają zakazu wojen i likwidacji stałych armii. Protestują wobec wszelkiej przemocy, jak również domagają się zniesienia kary śmierci i uznania jak najrychlej prawa do nieodbywania służby wojskowej jako prawa człowieka. W naturalny sposób pacyfizm splata się z ideami ekologicznymi, bowiem ochrona środowiska jest wyrazem troski o należyte warunki dla istnienia człowieka. Nie wszyscy jednak ekolodzy są pacyfistami.

Nowym wyrazem pacyfizmu jest wegetarianizm. Niejedzenie mięsa wiąże się ściśle z tą ideą, bowiem chodzi o likwidację przemocy wobec zwierząt, o szacunek dla istot różnych od człowieka. Okazuje się zresztą, że ubój zwierząt jest z reguły wadliwie przeprowadzany; przysparza im cierpienie. Wyliczono, iż likwidacja głodu na Ziemi nastąpiłaby z chwilą przeznaczenia obszarów, na których obecnie uprawia się pasze dla bydła rzeźnego, na pola, gdzie można by uprawiać kartofle, ryż, kukurydzę czy pszenicę. Troska o cierpienia innych, dążenie do likwidacji głodu na Ziemi, są wyrazem nastawienia pacyfistycznego. Nie znaczy to jednak, że każdy wegetarianin jest pacyfistą.

Przemysł zbrojeniowy przynosząc duży zysk materialny małej grupie osób, jest groźny. Wia-

domo o związkach niektórych polityków z tym przemysłem. Ze sprzedaży broni terrorystom czerpały korzyści rozmaite państwa.

Lekceważenie postulatów pacyfistów może doprowadzić do trzeciej wojny światowej. Przetrawanie ludzkości stało się problemem wobec nagromadzonych środków masowego rażenia. Ludzkość podzielona między innymi z powodu odmiennych religii, łatwo daje się manipulować przez tych, którzy pragną wojny, ażeby na niej się wzbogacić. Tragycznym nieporozumieniem jest oddawanie życia w imię idei, za którymi często stoją brudne interesy. Wciąż od pokoleń ktoś podejmuje decyzje o wojnach, a przecież można by żyć w trwałym pokoju. Cóż warto są rozmaite nagrody, w tym pokojowa nagroda Nobla, jeżeli ich laureaci nie starają się za wszelką cenę by zaniechano wojen.

Szczególnie sfałszowane są motywy tych wojen, których uzasadnieniem ma być wprowadzanie demokracji w państwach o innym ustroju. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że europejskie, podobnie jak amerykańskie rozwiązania prawne oraz obyczajowe nie doprowadziły do powszechnego szczęścia. Odwrotnie. Dlaczego więc przemocą zostają narzucane mieszkańcom innych kultur i kontynentów?

Z koncepcji miłości bliźniego nie wyciągnięto dotąd narzucającego się wniosku, jakim jest pacyfizm. Brakuje na naszym globie – mimo teoretycznej religijności szerokich rzesz społeczeństwa – nawet życzliwości powszechnej. Natomiast kulturze rockowej, traktowanej nie dość poważnie, zawdzięczamy krzewienie hasel pacyfistycznych. Jest to paradoksalne. Niektóre piosenki rockowe podkreślają wartość istnienia człowieka i wyśmiewają dążenie do poświęcania życia, nawet dla wzniosłych idei. Demaskują intencje tych, którzy zaszczepiają wrogość między ludźmi.

To nie rozum skłania wciąż do nowych wojen. To nie rozum sprawił, że dzieje ludzkości, to eskalacja nienawiści, agresji, wojen religijnych, etc. Źródłem wojen i terroryzmu jest przede wszystkim fanatyzm. Bywa nim także chęć szybkiego wzbogacenia się.

Pragnę podkreślić nierozwalny związek pacyfizmu i tolerancji. Zakazy i restrykcje powinny dotknąć instytucje i media, które szerzą nietolerancję. Pokój zależny jest od stanu świadomości jednostek i odporności na hasła antagonizujące. Niestety, jedynie pokonanych społeczności międzynarodowa powołuje przed oblicze Trybunałów. A co z producentami coraz skuteczniejszych środków zabijania?

Jeśli uzna się, że istnienie człowieka i tworzona przez nas kultura jest wartością podstawową, to konsekwencją takiego stanowiska jest protest wobec wojen. Najwyższy już czas, żeby człowiek był traktowany jako cel sam w sobie – mówiąc językiem Kanta – nie zaś jako środek służący obronie wiary, dobru państwa, czy demokracji.

Świadkowie Jehowy szli do obozów koncentracyjnych z powodu odmowy noszenia broni. Są konsekwentnymi pacyfistami, ale nie doczekali się szacunku w naszym społeczeństwie.

cdn.

*Maria Łayzelowska*

ANDRZEJ BARTYŃSKI

## Rozmowy na globie – człowieka o sobie



### Wiosna

Panie Autorze! Jak to dobrze, że już Pan wrócił z tych Cieplic.

– Czy tak się stęskniłaś za mną Wiosno?

– No pewnie, że się stęskniłam. Gdyby nie Pan, to by nie było mnie teraz tutaj w Pańskim salonie. Bez tego nic by się nie mogło wydarzyć. To znaczy bez Pana nie może się nic wydarzyć. Ja przecież istnieję dzięki Panu, by wykonywać obowiązki kuchenne, obsługiwać gości i umilać im pobyt w naszym salonie. Jestem gotowa na każde Pana skinienie. Wczoraj byłam u kosmetyczki i u fryzjera, by gościom zawrócić w głowie. Niech sobie nie myślą, że Pańska Wiosna, to jakaś łajza. Czy nie mam racji? A czy Panu się podobam?

– Twoje włosy, jak złote runo. Twoje oczy, jak dwa turkusy. Twoje dłonie, jak strofy wiersza. Wiosno! Jesteś najładniejsza.

– Naprawdę, tak Pan uważa? To dla mnie bomba. Chcę być u Pana jak najdłużej. Chcę być u Pana zawsze, jeśli to będzie możliwe. Spojrzała na mnie figlarnie mrużąc jedno oko i zapytała: Czy się Pan kogoś spodziewa dzisiaj? – Nie, Wiosno. Dzisiaj się nie spodziewam. Dzisiaj Wiosno, chciałem Ci opowiedzieć, jak było w Cieplicach Zdroju, dokąd mnie zaproszono, abym swym poetyckim występem uczestniczył w Święcie Kobiet w dniu 8 marca, roku 2012 o godz. 16:00 w sali błękitnej w zamku Schaffgotschów w Cieplicach Zdroju przy placu Piastowskim, a dniem tygodnia był czwartek.

– Panie Autorze, taka jestem ciekawa, jak tam było w dniu naszego Święta Kobiet. Jakie Pan odniósł wrażenie, jak reagowała publiczność na ten program, który Pan zaprezentował. Ale muszę pomimo wszystko Pana zaskoczyć. Kiedy wyszłam dziś przed południem na spacer, spotkałam naszego filozofa Pana Nietwora z jego asystentem Danielem Spanielem. Jak zwykle rozprawiali o sensie życia i roli człowieka jako jednostki i zbiorowości w naszym współczesnym świecie. Bardzo się ucieszyli na mój widok i poprosili, abym Panu zapowiedziała ich wizytę. Patrzę w tej chwili na zegarek, widzę, że dochodzi piąta po południu. Wiosna podeszła ku oknu, spojrzała przez nie na zewnątrz i odwróciła się do mnie. Podniosła wskazujący palec prawej ręki do góry i swoim bursztynowym głosem, jak w salonie poezji przystało, wyrecytowała: Panie

Autorze, oni już idą.

Cóż miałem robić. Musiałem się podporządkować bohaterom stworzonym przeze mnie. Więc powiedziałem. Trudno Wiosno. Kiedy indziej opowiem Ci, o moim spotkaniu w Cieplicach. A teraz Wiosno idź i otwórz naszym gościom drzwi.

Dwa niebieskie pantofelki, pełne wiosennego polotu ruszyły z miejsca do roboty przynależnej odźwiernemu. Drzwi się otworzyły i do salonu mych myśli weszli zapowiedziani goście. Pan Nietwór bardzo dostojnie trzymał w ręku bukiet żółtych i czerwonych tulipanów. Widząc to, Wiosna powiedziała: „Jeden tulipan czerwony, a drugi tulipan żółty. Powiedz czy przyjdiesz wieczorem, wieczorem o pół do siódmej”.

– Przychodzę, Wiosno, już o piątą po południu – powiedział Pan Nietwór. Te piękne tulipany są dla Ciebie z okazji Święta Kobiet, które było obchodzone wczoraj.

Obok Pana Nietwora stanął Daniel Spaniel. W rękę trzymał album „Fotopoezja w języku widzianym”, a do tego płyta pt. „Słuchając głosu poety w złotych ramach jego słów zobaczysz niewidziany dotąd przez ciebie świat”. – To Wiosno też dla Ciebie z okazji Święta Kobiet – powiedział Daniel Spaniel i nisko się pokłonił. A Wiosna wzięła głęboki oddech, by wnieść bursztynowym głosem okrzyk: Chwała męskiemu rodowi, filozofii, poezji i muzyce sfer!

– Oczywiście sfer damskich – dopowiedział, uśmiechając się Pan Nietwór i usiadł przy stole. Do stołu przysiadł się też Daniel Spaniel i patrząc promiennym wzrokiem w kierunku Wiosny, powiedział – jak było w Cieplicach Zdroju na spotkaniu autorskim w zamku Schaffgotschów, my ci opowiemy, bośmy tam byli wśród publiczności. Autor nas nie zauważył. Może to i lepiej. Był swobodny, mógł się skupić nad swoją rolą, o wykonanie której w dniu Święta Kobiet poprosiły poetę: Książnica Karkonoska tj. Powiatowa Biblioteka w Jeleniej Górze i Stowarzyszenie Jeleniogórski Klub Literacki.

– Zaraz po wysłuchaniu tej relacji, przynoszę na stół zmysłowy poczęstunek, dający znękanemu umysłowi smaczne zaspokojenie i wesołą chęć do dalszej zabawy – powiedziałszy to Wiosna, usiadła przy stole.

– A więc zaczynaj, Danielu – poprosił Pan Nietwór.

„I Tobie w hołdzie trud mój niosę  
jedyne śpiew mych lat i wiosen  
bo Ty jesteś moim domem  
i chronisz mnie przed wiatrem  
Ty jesteś jabłoni kwitnąca  
i wszystkiej mój romantyzm  
mamo!”

Sto par oczu patrzyło na twarz poety. Sto par uszu słuchało głosu poety. Sto par rąk biło brawo.

„U Państwa Szampowalskich mieszkam

już mnie to wcale nie złości  
kocha się we mnie pewna Czeszka  
do nieprzytomności

Herbatę pijam z malinowym sokiem  
ale słodsze są jej usteczka

Wróć babciu z nowym rokiem  
do naszego miasteczka

Sto par oczu słuchało poezji.

Sto par uszu widziało poezję.

Sto par rąk wierszowało oklaski.

Białą plażą idziesz miła  
cień za tobą płynie w cytrze  
i we włosy blaski wpina  
od tęczy rozmaitsze  
A ty białym piaskiem idziesz  
w dal serdeczną zamysłona  
jak pragnące niewolnice

nad zatoką wszystkich sonat  
Morzem fala chodzi drobna  
wiatr się falą opiekuje  
w liry kształt zakłęte biodra  
twoje są jak u bogunek  
Czegoż więcej dać ci mogę  
w taka porę moja miła  
chyba serce w twoje ręce  
żebyś w nim się zamysliła”.

Sto par oczu. Sto par uszu. Sto par rąk, a w nich  
żółte i czerwone tulipany braw.

– Słucham, słucham i patrzę. Jestem w teatrze.  
Niech żyje aktor poeta – krzyknęła piękna kobieta o  
królewskim imieniu Regina.

„Wszystko od Róży się zaczyna  
wygłosił radca i zdjął cwikier,  
a Róża cyk czerwony likier do kieliszeczka.  
Panowie! Miłość to potęga  
wygłosił radca i już sięga po kroplę słodką,  
A tymczasem, tymczasem  
czas już minął odtąd  
i we wspomnieniach jak w kieliszku  
różany likier Baczewskiego  
i Bartyńskiego złoty cwikier  
dla potomnego  
Likier zielony, błogosławiony  
a likier żółty i czerwony  
jeden i drugi błogosławiony  
a ten jak mleko zniebieszczony  
ten także jest błogosławiony”.

– Nie wiem, czy wiesz o tym, Wiosno – odezwał się Pan Nietwór – że to Baczewski miał swoją sławną na świat fabrykę wódek i wspaniałych likierów właśnie we Lwowie, rodzinnym mieście poety. Dlatego tak wielu Lwowiaków mieszkających w Jeleniej Górze przyszło na spotkanie.

„Zawsze gdzieś mieszka piękna lwowianka  
co Lwów ma na ustach od poranka  
chodzi po lwowsku, czuje po lwowsku  
i makagigi kupuje w kiosku  
miło się spotkać z taką lwowianką  
i wypić kawę ze śmietanką”  
Brawa, brawa, brawa.

„Idzie poeta przez czasy  
a ona, żona z różą  
patrzyła już wieczór, gwiazdy  
oczy swe srebrne mrużąc  
stała  
przytulił poeta żonę  
westchnęli  
jakie te gwiazdy słone  
ten pocałunek oczu”.

Więc stała przed publicznością ona, żona Krystyna, zwana po lwowsku Krzysia i wyręczając autora przeczytała z jego Leopolady „Wróć bo czereśnie” poemat pt. „U fryzjera”.

„czasem odwiedzę moją siostrę w pracy  
gdy siedzi na czterech literach  
i patrzy na ludzkość  
jak Flawiusz czy Tacyt  
a ludzkość jest u fryzjera”.

– Ja też jako ludzkość byłam u fryzjera – oświadczyła Wiosna i wstając od stołu przyjęła dumną postawę. Drodzy Panowie! Ja też tam z wami byłam, miód poezji piłam, siedziałam obok żony poety, miałam na głowie czapkę niewidną, nikt mnie nie widział, a ja wszystko nagrałam, łącznie z tą pirotechniczną końcówką, która nas kobiety tak łapczywie chwyciła nie tylko za serce ale i za rozsądek, gdy poeta mówił:

„Żaden wulkan tyle ognia  
nie ma w sobie co ja w spodniach  
przezo wiecznie od dnia do dnia  
płonę jasne jak pochodnia

(Dokończenie na stronie 24)

## POEZJA

**John Ashbery**, „Cztery poematy”. Przełożył: Andrzej Sosnowski. Na okładce: John Cage *River Rocks and Smoke 4111190*. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 69. Biuro Literackie, Wrocław 2012, s. 112.

**Dejan Bogojević, Olga Lalić-Krowicka, Obren Ristić**, „Odlewanie wiersza / Livenje pesme”. Przekład na polski: Olga Lalić-Krowicka. Mladenovac 2010, s. 94.

**Alaksandar Čitrić**, „Czarna księga. Aforyzmy”. Redakcja i przekład: Olga Lalić-Krowicka. Wstęp: Tadeusz Lira-Śliwa. Posłowie: Jurata Bogna Serafińska. Projekt okładki: Milan Bešić. Katykatūra Alaksandara Čitrića: Jugoslav Vlahović. Krośnińska Oficyna Wydawnicza Sp. z o.o., Krosno 2011, s. 54.

**Adam Czerniawski**, „Sąd ostateczny. Wiersze wybrane”. Przedmowa: Jacek Łukasiewicz. Opracowanie graficzne autor i Janusz Górnicki. Na okładce fragment mozaiki z bazyliki di Santa Maria Assunta w Torcello. Zdjęcie autora na okładce: Anna Lubicz-Luba *Bartholomew*. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Toronto-Rzeszów 2011, s. 188.

**Julia Fiedorczyk**, „Tlen”. Zdjęcia: Julia Fiedorczyk i Jacek Gliniecki. Opracowanie graficzne: Artur Burszta. Wydawca: Biuro Literackie, Wrocław 2009, s. 48.

**Arkadiusz Frania**, „Zacząć nic od początku”. Redakcja: Waldemar Skrzypczyk. Projekt okładki: Studio Nowy Świat. Na okładce wykorzystano prace: Subbotina Anna – Fotolia.com oraz Sabine Schmidt – Fotofoli.com. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2012, s. 60.

**Zuzanna Ginczanka**, „Krzętanina mglistych pozorów”. Opracowanie, wstęp i przekład: Alessandro Amenta. Tłumaczenie na polski: Elżbieta Jogała. Opracowanie graficzne: Maria Gromek. Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt 2011, s. 216.

**Artur Grabowski**, „Jaśnienie”. Zdjęcia: Jadwiga Majewska. Biblioteka „Toposu”, tom 70. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2011, s. 57.

**Ivan Korponai**, „Bałkańskie wiatry. Wiersze wybrane”. Redakcja i przekład z języka serbskiego: Olga Lalić-Krowicka. Posłowie: Wanda Nowik-Pala. Projekt okładki oraz fotografia na okładce: Ivan Korponai. Ilustracje: Joanna Smola. Krośnińska Oficyna Wydawnicza Sp. z o.o., Krosno 2011, s. 96.

**Kalina Kowalska**, „Światło”. Redakcja: Beata Golacik. Zdjęcia: Bożena Bielska. Projekt okładki: Beata Golacik, Nietketa. Nakładem Autorki, Lublin 2012, s. 68.

„Oswajanie zmięzchu. Almanach Koła Literackiego przy Klubie Nauczycieli Miasta Poznania”.

Zespół redakcyjny: Elżbieta Gałęzewska-Kraśnińska, Zofia Grabowska-Andrijew, Teresa Januchta, Agnieszka Mąkinia, Mirosława Prywer. Zdjęcie na okładce: Maria Magdalena Poczaj. Wydawca: Koło Literackie przy Klubie Nauczycieli Miasta Poznania. Współwydawca: Teresa Januchta, Poznań 2012, s. 128.

**Obren Ristić**, „Na wschodzie, w Serbii”. Redakcja i przekład z języka serbskiego: Olga Lalić-Krowicka. Wstęp: Jurata Bogna Serafińska. Projekt okładki: Kamil Krowicki. Krośnińska Oficyna Wydawnicza Sp. z o.o., Krosno 2012, s. 66.

**Małgorzata Skwarek-Gałęska**, „...i...”. Okładka i grafiki: Halina Nawrocka. Fotografia na okładce: Beata Jaśniak. Wydawnictwo ASTRA, Łódź 2012, s. 188.

**Andrzej Walter**, „Śmierć bogów”. Redakcja i posłowie: Leszek Żuliński. Fotografie i projekt okładki: Andrzej Walter. Zdjęcie autora: Jadwiga Walter. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków 2012, s. 116.

## PROZA

**Krzysztof Bobrowski**, „Żywość człowieka nadzwyczaj elastycznego”. Redakcja i korekta: Małgorzata Choszcz. Projekt okładki: Daniel Majchrzak / CONTRABANDA. Wydawca: Warszawska Firma Wydawnicza s.c., Warszawa 2011, s. 110.

**Krzysztof Derdowski**, „Wstyd”. Fotografia autora: Wojciech Hetman. Biblioteka Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, tom 6. Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych w Bydgoszczy, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2011, s. 112.

**Teresa Januchta**, „Na obrzeżach świtu”. Redakcja: Zbigniew Gordziej. Projekt okładki: Adam Dmowski. Zdjęcia na okładce: Anna Januchta-Szostak, Józef Januchta. Seria Wydawnicza: LIBRA, nr 31. Wydawca: Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, Poznań 2011, s. 144.

**Olga Kubińska**, „Zaduszki”. Zdjęcia: Janina i Ignacy Lango, Foto Kadr. Biblioteka „Toposu”, tom 71. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2011, s. 56.

**Teresa Nietyksza**, „Małe opowiadania”. Redakcja i korekta: Violetta Sawicka. Projekt okładki: Martyna Sobolewska. Na 4. stronie okładki autorka nad oceanem w Miami Beach – fotografia: Jadwiga Kwiatkowska. Wydawnictwo Instytut Śląski Sp. z o.o., Opole 2011, s. 120.

**Maria Pawlikowska-Jasnorzewska**, „Seans na dnie morza”. Wybór i posłowie: Marta Podgórnik. Opracowanie graficzne serii: Artur Burszta. Ryśunki: Julita Nowosad. Seria 44. Poezja Polska od Nowa, tom 6. Biuro Literackie, Wrocław 2011, s. 64.

**Adam Wiedemann**, „Odpowiadania”. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Marcin Lagocki. Biblioteka Rity Baum. Stowarzyszenie Kulturalno-Artystyczne „Rita Baum”, Wrocław 2011, s. 226.

## NAUKA, KULTURA, SZTUKA

„Było nic minęło. Antologia tekstów krytycznych poświęconych twórczości Juliana Kornhausera”. Projekt okładki: Adrian Gleń. Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2011, s. 318.

**Czesław Dziekanowski**, „Poszukiwanie źródeł kreatywności”. Projekt okładki: Artur Paluszyński. Grafika na okładce: Tomasz Bohajedyn. Seria *Psychologia Literatury*. ENETEIA Wydawnictwo Psychologii i Kultury, Warszawa 2011, s. 378.

**Janusz Janowski, Kazimierz Nowosielski**, „Poza ramami. Rozmowy z artystami”. Projekt graficzny i projekt okładki: Janusz Janowski. Wydawnictwo „Bernardinum”, Pelplin 2011, s. 376, w tym fotografii.

**Tymoteusz Karpowicz, Andrzej Falkiewicz, Krystyna Miłobędzka**, „Dwie rozmowy. (Oak Park / Puszczkowo / Oak Park)”. Wybór listów i ilustracji oraz wprowadzenia: Krystyna Miłobędzka. Opracowanie i przygotowanie materiałów do druku: Jarosław Borowiec. Projekt graficzny i projekt okładki: Ryszard Bienert. Publikowane w książce zdjęcia i materiały archiwalne pochodzą z prywatnego archiwum Krystyny Miłobędzkiej i Andrzeja Falkiewicza. Biuro Literackie, Wrocław 2011, s. 286.

**Krzysztof Karwat**, „Stąd do Broadwayu. Historia Teatru Rozrywki”. Zdjęcie na okładce Arkadiusz Gola. Projekt graficzny i typograficzny: Ewa Satalecka. Stowarzyszenie Teatralne ENTREE, Chorzów 2011, s. 360, w tym zdjęcia.

„Nowe dwudziestolecie. Szkice o wartościach i poetykach prozy i poezji lat 1989-2009”. Okładka i koncepcja graficzna: Dorota Bojkowska. Seria: *Wielkopolska Biblioteka Poezji*, tom 30. Krytyka 6. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu. Poznań 2011, s. 388.

**Edward Stachura**, „Kladdebok. Dzienniki. Zeszyty podróżne”, tom 2. Wybór, przygotowanie z rękopisu do druku, przypisy i posłowie: Dariusz Pachocki. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Andrzej Barecki. Na okładce wykorzystano reprodukcję okładki prawdziwego zeszytu dzienników Edwarda Stachury, wykonaną przez Dariusza Pachockiego. Zdjęcia z archiwum: Moniki Stadnin, i Dariusza Pachockiego. Wydawnictwo „Iskry”. Warszawa 2011, s. 408. w tym zdjęcia.

**Wit Szostak**, „Dumanowski”. Projekt okładki i rysunki: Maciej Sieńczyk. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 2011, s. 208.

**Mario Vargas Llosa**, „Listy do młodego pisarza”. Przełożyła: Marta Szafrńska-Brandt. Opracowanie graficzne: Katarzyna Borkowska. Opracowanie typograficzne: Daniel Malak. Fotografia na pierwszej stronie okładki: Sophie Bassouls. Wydawnictwo Znak, Kraków 2012, s. 128.

[ad]

## Prawda o momentach bycia...

(Dokończenie ze strony 20)

*twarz przed zmrokiem siebie  
było tyle miłości  
i świąt i nadziei  
a na twarzy wciąż czeka  
Trójkąt Boga  
– znak bieli*

Ta poezja rozbudza i kształtuje wrażliwość, zwłaszcza w dzisiejszym zmaterializowanym świecie. Ale i w tej poezji, jak zwykle, sito czasu – niezależnie od doraznej oceny, dokona selekcji ostatecznej. Pokaże, czy jej poezja przetrwa próbę czasu, czy zmieni coś w jej życiu, stanie się czymś prawdziwym, czy okaże się, że było tylko zjawiskiem pozornym?

W przypadku Muchy takich obaw nie ma, gdyż poetka ma już swoją renomę, a jej poezja już od dawna nie schodzi poniżej pewnego poziomu.

Danuta Mucha posiada zdolność do kreowania nastrojów, spontanicznego opowiadania o swoich przeżyciach. W wierszach tych nie ma wybujałej fantazji, która często niszczy to, co najistotniejsze w poezji – autentyczność. Jej tłumaczenie świata ma charakter bardzo osobistych wyznań, ale są to wyznania posiadające moc doświadczeń. Dzisiaj poetka już wie, że *czas odmierza kartki słów*. To odważne wyznanie jest dowodem na to, że ma ona świadomość, że jeśli poeta interpretuje swoje życie, interpretuje również i rzeczywistość, a ponieważ żyje w określonej kulturze i to również opisuje swoją kulturę. A robi to z niezwykłą subtelnnością.

Liczne w jej poezji motywy eschatologiczne to wnikliwe studia więzi łączących ją z Absolutem, zamyślenia nad dramatycznością życia, nad jego kruchością i przemijalnością:

*z nie omdlenia z ciszy słowa  
zapachniało kartką zdarzeń  
a na palcach jabłka marzeń  
zabiegają o nasz czas (...)*

Wiersze Danuty Muchy na tle współczesnej poezji zawieszono są gdzieś między dużą powagą podejścia do tematów a radością obcowania ze światem zastanym. Poetka nie narzeka i jednocześnie nie kontestuje. W sposób prosty i zrozumiały stara się, by czytelnik odnalazł w tych wierszach część tego świata, który jest mu bliski, a być może i część siebie. Dlatego wiersze zawarte w książce *Spowiedź myśli* przyciągają uwagę czytających, a momentami stają się nawet intrygujące, a wszystko dzięki klasycznej formie przekazu poetyckiego. Te wszystkie fascynacje, którymi otoczyła się poetka wydają się przynosić jej niesłychaną radość. Odpowiadają naturze jej

pisania. Dlatego Mucha wie, że współczesne życie jest trudne i łatwo jest wpaść w otchłań nieprzystosowania. Ciągłe gonitwy za dobrem doczesnym przyćmiewają gdzieś te wartości, które kiedyś były wyznacznikiem ludzkiego działania i postępowania. Dzisiaj z tych wartości nie pozostało wiele, a to, co w jakiś niesłychany sposób przetrwało, to tylko resztki człowieczeństwa, które trzeba ratować, by nie zatracić najważniejszego...

To skupienie nad światem pozwala jej na obiektywne dzielenie się z innymi swoimi poetyckimi tajemnicami. Wykorzystuje przy tym często swój kobiecy instynkt, a ponieważ wie, że w życiu najważniejsza jest stabilność, więc jej pasja staje się jeszcze bardziej intensywna. Nie udaje, więc nie musi się martwić o nieprzychylną ocenę ze strony innych. Daje jej to możliwość nieskrępowanego tworzenia. Jedyne czego się obawia to, że:

*(...)  
nie odbiorę ciszy słowem  
nie zawołam ciszy w snach  
na rozstajach z ciszą stoję  
a we włosach tańczy wiatr*

Myślę jednak, że Danuta Mucha nie musi się lękać o swoją przyszłość. Jej poezja daje nadzieję i utrwala fabułę jej życia, które już nie jest takie prywatne, a poza tym rozkłada się na płaszczyźnie rozpostartej między fascynacją a rozczarowaniem, miłością a wiarą w rzeczy ostateczne. I to jest największa siła jej wierszy, bowiem nadzieja ma spełnienia, a rozczarowanie pozbawione jest poczucia rzeczywistości. Poezja jest więc dla niej tą cudowną możliwością mówienia prawdy o momentach bycia, wędrowania i przechodzenia na drugą stronę życia, tam, gdzie podobno jest tylko lepiej.

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Danuta Mucha, „Spowiedź myśli”. Redakcja, posłowie i fotografie: Dariusz Tomasz Lebioda. Biblioteka „Tematu” 48. Seria – „Kora drzew”, nr 3 – „Olcha”. TEMAT, Bydgoszcz 2011, s. 76.

## Wiosna

(Dokończenie ze strony 22)

czy to taka wielka zbrodnia  
że kobiety proszą ognia  
gdy się pali jeszcze głownia  
palce panie, szkoda zdrowia”.  
Słychać bursztynowy głos. Widać falę złotych włosów. Widać niebo turkusowych oczu. Oto Wiosna. Oto wiosna już nadchodzi.

A ja autor, jako całkowicie ociemniały poeta na wzór Homera, widziałem też wszystko. Sto par oczu. Słyszałem też wszystko. Sto par uszu. Zmyśliłem też, ale nie wszystko. Ja tylko na stole realizmu

postawiłem flakon poezji, a w nim żółte i czerwone tulipany. Wiosna już nadchodzi.

– Tak, tak słyszę, Panie Autorze. Już nadchodzi. Już przynoszę zapowiedziany zmysłowy poczęstunek – z głębi kuchni, podniesionym głosem informowała Wiosna.

– Czekamy jak na zbawienie – odkrzyknął Daniel Spaniel – czy mogę w czymś pomóc?

Do salonu weszła Wiosna, niosąc przed sobą ogromną srebrną tacę. Postawiła ją na stole przed nami. Na talerzach królowały chrupiące lwowskie kartoflaniki, czyli placki ziemniaczane polane sosem borowikowym.

– Ja to odgapiłam w *Sonacie*, w tej cieplickiej restauracji, gdzie przed występem, Autor ze swą żoną Krzysią byli goszczeni tym nieoczekiwanie wybornym smakodarem – wyjaśniała Wiosna przyczynę powstania kulinarnego zjawiska. Wdychaliśmy kuszący aromat zapowiadający radość podniebienia.

– Materia jest podstawą smacznej duchowości – stwierdził Daniel Spaniel. Chrupiące wersety kartoflaników wzięte srebrnymi palcami widelców uniosły się do podniebnej sfery naszych ust. Chrum, chrum. Miam, miam. Chrum, chrum. Mniem, mniem.

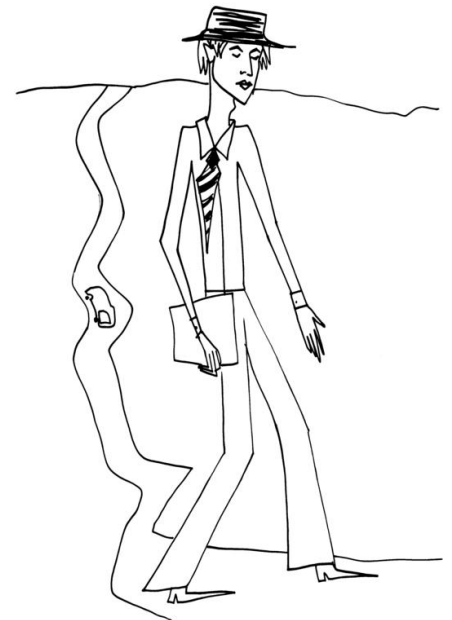
– A do tego moi Panowie przyniosłam pyszne, chłodne jasne piwo. W czym to piwo mam podać. W halbie, w kuflu czy w szklancy?

– W tej chwili – zdecydował Pan Nietwór.

– Ja się z wami też uraczę – powiedziała Wiosna.

Jedliśmy chrupiące placki w sosie borowikowym. Piliśmy pyszne, chłodne jasne piwo. I tak oto razem w salonie mych myśli przełknęliśmy pointę wiosennej opowieści.

ANDRZEJ BARTYŃSKI



Rys. Barbara Medajska

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ŻELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, Stefan Pastuszewski, prof. Maria Szyszowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.